

KATOLICKI TYGODNIK ILUSTROWANY

R o d z i n a

NR 35 (269) ROK VI

WARSZAWA 29. VIII. 1965

CENA 2 ZŁ



XII NIEDZIELA PO ZESŁANIU DUCHA ŚWIĘTEGO



z listu św. Pawła Apostoła do Koryntian (II, 3, 4-9)

Bracia: Ufność taką mamy przez Chrystusa ku Bogu. Nie jakobyśmy zdolni byli pomyśleć co sami z siebie, jako z siebie, ale zdolność nasza z Boga jest. On też uzdolnił nas, abymy się stali sługami nowego Przymierza, nie według litery, ale według Ducha: bo litera zabija, a Duch ożywia. A jeśli postuga śmierci, wryta literami na kamieniach, była w takiej chwale, że synowie Izraela nie mogli patrzeć na twarz Mojżeszową, dla jasności oblicza jego, która zniknąć miała, jakoż więcej postuga Ducha będzie w chwale. Albowiem jeśli chwala jest postugą potępienia, daleko bardziej w chwale obitować będzie postuga sprawiedliwości.



EWANGELIA

Według św. Łukasza (10, 23-37)

Onego czasu: Rzekł Jezus uczniom swoim: Błogosławione oczy, które widzą, co wy widzicie. Bo powiedziałam wam, że wielu proroków i królów chciało widzieć, co wy widzicie, a nie widzieli, i słyszeć, co słyszycie, a nie słyszeli. A oto pewien biegły w Zakonie powstał, doświadczając Go i rzekł: Nauczycielu, co mam czynić, aby osiągnąć życie wieczne? A On rzekł do niego: W Prawie co napisano? Jako czytasz? A on powiedział: Będziesz miłował Pana Boga twego ze wszystkiego serca twego i ze wszystkiej duszy twojej, i ze wszystkich sił twoich i ze wszystkiej myśli twojej, a bliźniego twego, jak siebie samego. Rzekł mu: Dobrześ odpowiedział. Czyn to, a będziesz żył. On zaś, chcąc się usprawiedliwić, rzekł do Jezusa: A któż jest moim bliźnim? Jezus zaś, podejmując pytanie rzekł: Człowiek pewien zstępował z Jerozolimy do Jerycha i wpadł między złoczyńców, którzy go też złupili i rany zadawszy odeszli, zostawiając na pół umarłego. I zdarzyło się, że kapłan pewien zstępował tą drogą i ujrzał go minął. Także i lewita, będąc blisko miejsca i widząc go, minął. A Samarytanin pewien zdążając drogą, przechodził obok niego i ujrzałszy go użalił się nad nim. I przybliżywszy się zawiązał rany jego, nalewając oliwy i wina, posadził go na swe juczne zwierzę i zawiązał do gospody i pielegnował go. A nazajutrz wyjął dwa denary, wręczył je właścicielowi gospody, mówiąc: Miej nad nim pieczę, a cokolwiek ponad to wydasz, ja, gdy się wrócę, oddam tobie. Któryż z tych trzech zdaje się być bliźnim tego, co wpadł między złoczyńców? A on rzekł: Ten, który mu miłosierdzie okazał. I rzekł mu Jezus: Idź, a czyn i ty podobnie.

Wprawdzie ewangelia, przeznaczona na niedzielę dwunastą po Zielonych Świątkach, daje przykład prawdziwej miłości bliźniego i na ten temat należałoby dać komentarz, ze względu na zbliżający się rok szkolny, zrobimy krótkie rozważanie o wychowaniu dzieci.

Radosne, pełne młodzieńczego śmiechu i krzyku wakacje dobiegają końca. Zwinięte zostały już namioty obozowe na górskich polanach, nad brzegami jezior i mórz. Pustoszeją budynki zajmowane na kolonie dla dzieci, gmachy szkolne w gorączkowym tempie przygotowywane są do przyjęcia w swe mury tych, którzy w roku ubiegłym kontynuowali naukę i tych, którzy po raz pierwszy zasiądą w szkolnych ławkach. Z dniem pierwszym września rozpocznie się ciężka i mozolna praca, praca nauczycieli i uczniów. Rodzice dzieci uczących się i młodzieży nie mogą wobec tego faktu być obojętni i przezważnie nie są. Niemniej należałoby zdopinguować ich wysiłki, by ci, którzy całe swoje życie poświęcili dla dzieci i młodzieży, nie byli osamotnieni lub źle rozumiani, by nauczyciele i wychowawcy mogli liczyć na pomoc całego społeczeństwa.

Pierwszorzędnym obowiązkiem rodziców jest troska o właściwe wychowanie swoich dzieci. Może więc bezcelowe jest przypomnienie tego, co jak się wydaje dla wszystkich jest tak jasne i proste. A jednak przypominać trzeba i należy, po to, by te właśnie rodzicielskie obowiązki dobrze znać i skrzętnie je wypełniać.

Jest wielu takich rodziców, którzy poprzestają tylko na tym, że dziecku kupią do szkoły niezbędne przybory, odpowiednie ubranie, dadzą nawet parę groszy na inne konieczne wydatki, a resztę pozostawiają szkole. Owszem szkoła bierze na siebie bardzo ciężki i poważny obowiązek uczenia i wychowywania ale bez udziału rodziców i nierodziców włożona wielka praca nie zawsze przyniesie pozytywne wyniki, tym bardziej skoro dom rodzinny będzie psuł to, co zostało zbudowane przez nauczyciela.

Chrześcijańscy rodzice przed rozpoczęciem roku szkolnego idą do kościoła, by podczas Mszy św. odprowadzić w intencji dzieci i młodzieży wypraszać dla nich i ich wychowawców potrzebne łaski w ciężkiej pracy. Wielu spośród tych przybyłych do świątyni idzie do Komunii św., by razem z Jezusem rozpoczynać naukę. Piękny to zwyczaj, który należy podtrzymywać. Kościół chce pomóc szkole i czyni to przy pomocy środków, którymi dysponuje. Błędne jest inne działanie, bo nie może być w wychowaniu dualizmu, nie może być rozdwojenia. Zależy nam wszystkim na wychowaniu zdrowego moralnie i fizycznie człowieka.

Dlatego trzeba dużo roztropności i taktu, aby praca całego społeczeństwa szła w tym kierunku. Wychowanie bowiem młodego człowieka, to istotnie nie tylko jakaś sprawa osobista rodziców, tej czy innej grupy wyznaniowej, ale sprawa społeczna.

Rozpocznijmy naszą pracę wychowawczą staraniem, aby żadne z dzieci nie spóźniło się do szkoły, na zajęcia w punkcie katechetycznym i do kościoła na Mszę św. Żeby żadne z naszych dzieci nie używało słów brzydkich, niewłaściwych. Żeby nasze dzieci umiały ustąpić miejsca komuś choremu i starszemu. Przypilnujmy, żeby szanowały własność publiczną, ławki szkolne, kwiaty w parkach, drzewa, wagony kolejowe, tramwaje, autobusy... Naród nasz powinien być narodem przodującym w dziedzinie kultury. Dziecku nie można jednak tylko kazać i rozkazywać. Starsi swoim przykładem mają wpajać w młodszych właściwe zasady postępowania. To byłoby zbyt mało, gdyby tylko dziecku polecało się wykonanie jakiegoś obowiązku, a samemu postępowałyby się inaczej. To nawet przynosiłoby odwrotny skutek. Dlatego my sami nigdy nie mówmy źle o naszych bliźnich, a przede wszystkim o tych, którzy uczą i wychowują nasze dzieci. Nie krytykujmy ich wobec młodszych, nie podrywajmy im ich autorytetu, choćby mieli jakieś poważne wady. Wymagajmy szacunku dla siebie, ale również i my szanujmy innych.

Troszczmy się o wychowanie moralne naszych dzieci i młodzieży. Moralność jest jedna. Kościół i szkoła świecka uczą, że zła należy unikać, a czynić dobrze. Dlatego też i pod tym względem nie będziemy się różnili od moralistów świeckich. Wiadomo, że wiedza sama bez wychowania etycznego nie daje pełni człowieczeństwa. Zadaniem wychowania moralnego jest uzdolnienie człowieka do czynu, by był w stanie pracować dla szczęścia własnego i dla dobra społecznego. Doświadczenie wskazuje, iż nie od zasobu wiedzy, ale od poziomu obyczajów jednostki i od jej postępowania oraz aktywności, zależy szczęście człowieka oraz jego otoczenia.

Do bardzo ważnych zasad etycznych należy prawdomówność. Dążenie do prawdy, przyzwyczajenie do prawdomówności należy do najwyższych wartości w życiu, i dlatego winniśmy wpajać w dzieci od zarania ich istnienia gorące zamiłowanie do prawdy, a wstręt do wszelkiego kłamstwa. Kłamstwo bywa początkiem i sprzymierzeńcem niejednego poważniejszego zła i wyrokowania przeciw prawu Boskiemu i ludzkiemu. Dziecko należy strzec przed złym przykładem starszych i kolegów oraz podkreślać przy każdej okazji ważność i wartość prawdomówności. Dziecko, jeśli będzie miało zaufanie do starszych, będzie szczere, przyzna się do jakiegos wyrokowania, i nie będzie się postugiwać kłamstwem.

Mamy także uczyć dzieci posłuszeństwa. Posłuszeństwo jest podstawą porządku społecznego, należy do najważniejszych dyscyplin i żadna komórka społeczna, czy to rodzina, czy zakład pracy, organizacja i państwo nie mogą dobrze funkcjonować, a nawet osiągać swych celów, gdy ich członkowie nie chcą słuchać władzy. Tak samo najmądrzejsze wskazówki i idealni wychowawcy nie działają, gdy ich dzieci nie będą słuchały. Dziecko uczy się najpierw tej cnoty przez przyzwyczajenie, a później przeradza się w posłuszeństwo rozumne. Karność, to cecha człowieka posłusznego, zdolnego do wykonania poleceń, zdyscyplinowanie zaś polega na czynieniu nawet bez rozkazu wszystkiego, co korzystne dla jednostki, rodziny, instytucji, społeczeństwa, czy kraju.

W sposób roztropny rozwijamy w dzieciach poczucie ambicji i osobistej godności. Umiarkowana ambicja jest zjawiskiem pozytywnym, skłaniającym młodzież do szlachetnego współzawodnictwa w nauce, zachowaniu, czy w dziedzinie sportu.

Prośmy najlepszego nauczyciela i wychowawcę Jezusa Chrystusa, by uczył nas i pomagał w wychowaniu młodego naszego społeczeństwa.

Ks. mgr. Z. MĘDREK

PODZIĘKOWANIE

Siostry z Towarzystwa Niewiast Adoracji Najświętszego Sakramentu przy parafii „Miłosierdzia Bożego“ w Warszawie, ul. Wilcza 31, w imieniu całej parafii składają gorące podziękowanie siostrzom z Towarzystwa „Bożej Miłości“ z bratniego, Polskiego Narodowego Kościoła Katolickiego w Chicago za piękny dar w postaci szat liturgicznych.

Szaty te zostały przydzielone poszczególnym parafiom polskokatolickim w Polsce: I tak:

- 1) Ornat biały wraz z dalmatykami, albę, komżę, stufę i welon, otrzymała parafia „Miłosierdzia Bożego“ w Warszawie.
- 2) Ornat czarny (komplet) — parafia w Radomiu.
- 3) Ornat biały (komplet) — parafia p.w. „Wszystkich Świętych“ w Iwicznej koło Warszawy.
- 4) Ornat fioletowy (komplet) — parafia p.w. św. Józefa w Głubczycach.
- 5) Ornat zielony i biały (komplety) — parafia w Świeciechowie n/Wisłą.
- 6) Kapę fioletową — parafia w Koszarzewie Górnym.

B Ó G Z A P Ł A C.

KOŚCIÓŁ JEZUSA CHRYSZTUSA JEST ŚWIĘTY

Sprawy i rzeczy godne miłości, czci oraz najgłębszego szacunku od najstarszych czasów nazywano świętymi. Taki przymiot nadawano np. miłości ojczyzny (wiersz I. Krasickiego: „Święta miłości Kochanej Ojczyzny”), miłości rodziców do dzieci i odwrotnie, osobom zmarłym, które zostawiły po sobie dobre wspomnienia („świętej pamięci”).

Chrześcijanie pierwszych wieków mianem „święty” obdarzali swoich współwyznawców żyjących, nazywali tak również wszystko, co stanowiło przedmiot religijnej czci, a więc i samą instytucję Kościoła Jezusa Chrystusa.

Kościół stanowi — głoszone przez Zbawiciela — „Królestwo Niebieskie” na ziemi. Jest instytucją świętą, ponieważ:

- został założony przez Boga,
- ma święty cel,
- posiada święte środki do tego celu prowadzące.

Świętą nauką Chrystusową wskazuje Kościół swym wyznawcom wzniosłą chociaż trudną drogę uszlachetniania serca i osiągnięcia moralnej doskonałości. Świętymi sakramentami Kościół pomaga podnosić duszę do Boga, leczycie duchowe rany, utrzymywać się na wysokim poziomie religijno-moralnym.

W świętości jest racja bytu Kościoła, Bez Kościoła mógłby się człowiek zbawić, ale z wielką trudnością i nie każdy człowiek. Kościół ułatwia przejście przez wszystkie trudności życia. Czyni to naturalnie tylko w stosunku do tych, co chcą jego pomocy, co pamiętają, że jest na świecie pewna instytucja święta, która czeka z pomocną ręką w trudnych problemach duchowego życia.

Kościół jest święty, gdy wychowuje nie tylko poszczególnych ludzi, lecz i całe społeczeństwa, gdy wprowadza pokój i dopilnowuje zachowania praw, ładu i sprawiedliwości.

Mowa tu o zasadach, nie zaś o wyjątkach, które Kościół Jezusa Chrystusa kompromitują. Przykro jest szczeremu chrześcijanowi słyszeć, że ten czy ów Kościół partykularny wychowuje ludzi i całe społeczeństwa w nienawiści rasowej, narodowej, społecznej lub politycznej. Przykro słuchać, że ideę świętości Kościoła Jezusa Chrystusa nieraz wypacza wielki liczebnie Kościół partyku-

larny, jakim jest Kościół Rzymskokatolicki.

Dla teologii rzymskokatolickiej świętość Kościoła to przede wszystkim kanonizacja świętych. Niektórzy teolodzy wprost głoszą, że tylko Rzymskokatolicki Kościół jest święty, ponieważ tylko u niego występują ludzie święci działający cuda. Kanony rzymskie wymagają przynajmniej dwóch cudów od kandydatów do kanonizacji. Odpowiadamy na to, że nie tylko w Rzymskokatolickim Kościele są ludzie święci. Są tacy przecież i w religiach niechrześcijańskich np. w hinduizmie. Kanonizację nadal urządzają i Kościoły wschodnie (prawosławne), bez wymagania jakichkolwiek cudów. Przecież, że rzymskokatolickie przepisy o cudach mocno się zestarzały. Ostatnio — w XX wieku — kanonizowali i kanonizują papież swoich świętych bez żadnych cudów, z czego wynika, że dawniej opisywane cuda pochodziły raczej z fantazji czy braku krytycyzmu.

Pamiętamy z historii, że rzymskokatolicka Inkwizycja też nosiła przymiotnik „święta”, jak „świętym” jest jej spadkobierca „Święte Oficjum”. Katolicy rzymscy w Italii miano „Santissimo” — Przenajświętszy nadają zarówno Sakramentowi Ołtarza jak i papieżowi. Rzymskim katolikom w Polsce wydaje się takie zestawienie niewłaściwe, lecz również niewłaściwe dla nas polskich katolików w Polsce wydaje się łączenie świętości Kościoła Jezusa Chrystusa z cudami, kanonizacjami, cudownymi obrazami, relikwiami czy odpustami. Nie w ten sposób rozumieł świętość Kościoła ci, co formułowali Skład Apostolski i mówili: „Wierzę w święty Kościół”. Sławny Ojciec Kościoła, św. Augustyn z Hippony, odrzucił wyraźnie błąd donatyzmem zwany chociaż donatyciści powoływali się na cuda i objawienia. Stwierdził twardo, że tego rodzaju „świętość” nie zmniejsza ich błędu i czyni ich Kościoła świętym w duchu Jezusa Chrystusa (List Augustyna do katolików nr 49 i 50 — Migne PL t. 43, kol. 428—430). Jak pisał Ap. Paweł, Chrystus „umiłował Kościół i wydał zań samego siebie, aby go uświęcić obmyciem w słowie żywota. I zgotował sobie Kościół pełen chwały, nieskalany i bez zmyś, bez czegokolwiek, co by mu ujmę przynosiło, ale święty i niepokalany” (Efez. 5, 25—27).

Ks. dr S. WŁODARSKI

P C K

Niepoślednią rolę w kraju naszym odgrywa Polski Czerwony Krzyż. W pierwszych latach powojennych szczególnie wielką troską PCK było niesienie pomocy tej ludności, którą najbardziej dotknęły skutki wojny i okupacji hitlerowskiej, oraz repatriantom i więźniom powracającym do kraju. Poza tym PCK otaczał opieką dzieci — sieroty i półsieroty, rodziny inwalidów i starców. W pierwszych latach powojennych PCK uruchomił różnego rodzaju placówki opiekuńcze, szczególnie dla dzieci, inwalidów i starców. Organizował kolonie letnie dla dzieci, odbudowywał ze zniszczeń i uruchamiał szpitale, sanatoria i prewentoria oraz różnego rodzaju własne placówki lecznictwa otwartego. Z uwagi na znaczenie krwi jako środka leczniczego w nowoczesnym lecznictwie organizował stacje krwiodawstwa. W miarę posiadanych środków transportowych uruchamiał również stacje pogotowia ratunkowego i ambulansy ruchome itd. Na przestrzeni lat 1947—1950 Polski Czerwony Krzyż na podstawie decyzji władz państwowych był upoważniony do organizowania i prowadzenia całoci akcji krwiodawstwa i doraźnej pomocy leczniczej (pogotowia ratunkowego) w kraju.

Dla wypełnienia olbrzymich potrzeb w kadrach pielęgniarskich w stale rozwijających się placówkach służby zdrowia PCK zaraz po wojnie zaczął również organizować i prowadzić szkoły pielęgniarskie.

Na różnego rodzaju kursach sanitarnych, organizowanych przez kółka PCK, szkoli się rocznie około 500 tys. osób w udzielaniu pierwszej pomocy i transportowaniu poszkodowanych.

Polski Czerwony Krzyż prowadzi 43 zasadnicze szkoły medyczne dla asystentek pielęgniarskich PCK, w tym 4 szkół jednorocznych i 34 szkoły dwuletnie, oraz 2 szkoły pielęgniarskie w Warszawie, oddając na potrzeby służby zdrowia około 1500 absolwentek rocznie.

Polski Czerwony Krzyż prowadzi dział informacji i poszukiwań. Prowadzi pomoc dla ofiar klęsk żywotowych w postaci leków, żywności, odzieży, pomoc przy ewakuacji z terenów zagrożonych i organizuje zabezpieczenie sanitarne.

Stowarzyszenie rozwija działalność opiekuńczą w zakładach zamkniętych: szpitalach, domach opieki, domach dziecka, itp. Udziela pomocy materialnej dla osób znajdujących się przejściowo w trudnych warunkach życiowych, a zwłaszcza sierot starców, inwalidów. Równoległe prowadzi działalność opiekuńczą w formie interwencji i pomocy w sprawie uzyskania rent, leczenia w szpitalu, otrzymania pracy, mieszkania itp.

Wartość pomocy materialnej w roku 1963 wyniosła 2.689.075 kółka szkolne z zebranych funduszy udzieliły pomocy w wysokości 766.685 zł. Tak wygląda w skrócie działalność humanitarna Polskiego Czerwonego Krzyża, stowarzyszenia opierającego się na szerokim aktywnie działaczy i jednostek organizacyjnych oraz pomocy państwa. Ch.

NIE ZAPOMINAĆ O CZŁOWIEKU

W drugim tygodniu lipca byliśmy świadkami niezwykłych sukcesów myśli i techniki ludzkiej. Podsumujmy je. Pracownice naukowe, specjalizujące się w kosmicznych podbojach zanotowały nie lada sukcesy. „Mariner — 4” — pocisk kosmiczny został wystrzelony w dniu 28 listopada 1964 roku w przestrzeń. W dniu 16 lipca 1965 r. uczeni na Ziemi odebrali pierwsze zdjęcie powierzchni Marsa dokonane z odległości około 250 mln km. Wprawdzie nie została rozwiązana w pełni tajemnica „czerwonej planety”, niemniej jednak uzyskano pierwsze zdjęcia autentyczne, dzięki doskonałym instrumentom, dane o Marsie. Rzeczą uczonych jest wysnuć odpowiednich wniosków z dokumentacji uzyskanej z przestrzeni kosmicznej, której wielkość przerasta zdolność pojmowania przeciętnego człowieka.

Tego samego dnia, kiedy „Mariner 4” zbliżył się do Marsa, astronauta ZSRR wypuścili w przestrzeń kosmiczną „spuścikomiot”. Przy pomocy jednej rakiety nośnej wystrzelono w ZSRR jednocześnie aż pięć sztucznych satelitów, które nazwane zostały kolejno: „Kosmos 71” do „Kosmos 75”. Zainstalowana aparatura w tych kosmicznych aparatach działa niezależnie, precyzyjnie i nadaje na ziemi komunikaty, które są rejestrowane i konfrontowane przez uczonych.

Równoległe wystrzelono w ZSRR potężną raketę nowego typu — „Proton-1”, która wyniosła na orbitę wokółziemską kosmiczną raketę, która jest naczyniem innym jak wielkim laboratorium naukowym, zdolnym do prowadzenia badań kontrolno-pomiarowych. To radzieckie „laboratorium” waży 12,2 ton i zawiera w swoim wnętrzu pomiarową stację kosmiczną, nadajnik radiowy. Jest to największa raketa, jaka krąży dokoła Ziemi. Sukces techniki oszałamiający. Zapowiedź nowej ery, która ludzkości poza technicznymi osiągnięciami otwiera zagadkę Kosmosu. Zdobycze te powinny służyć przede wszystkim dobru człowieka.

Już niedługo w podróż kosmiczną uda się pierwszy kosmonauta, Jurij Gagarin. Tym razem nie będzie to samotny lot. Przewiduje się, że kilku kosmonautów jednocześnie opuści kabinę. Odbędą oni zbiorowy spacer w przestrzeni kosmicznej. Ten eksperyment, który niechybnie uda się jest etapem do następnej fazy rozwojowej kosmonautyki, której zakończeniem będzie lądowanie człowieka na Księżycu.

Opierając się o coraz doskonalszą myśl społeczną, obserwujemy dążenie do stałego rozwoju i stałej rozbudowy form naszego bytowania na Ziemi. W niezwykle szybkim tempie odbywa się emancypacja ludów kolorowych, przez stulecia znajdujących się poza zasięgiem wspólczesnej kultury i cywilizacji, która niestety w swoich docelowych dążeniach przyoblekała się w ludobójstwo hitlerowskie, bomby atomowe, niweczące setki tysięcy ludzkich istnień.

Ludzkość dysponuje przeogromnym arsenalem możliwości doskonałości „królestwa na ziemi”. Cała rzecz w tym, aby wysiłki silnych technik służyły DOBRU, a nie były źródłem przemocy i ucisku człowieka przez człowieka. Uczłowieczenie wspaniałych osiągnięć techniki, zbliżenie jej rezultatów do człowieka i uczynienie ze współczesnych środków najnowocześniejszej produkcji instrumentu podnoszącego stopę życiową ludzkości — to chyba naturalne, elementarne prawo i obowiązki tych, którzy te supernowoczesne urządzenia konstruują i uruchamiają. (O).



dogmatyzm w planowaniu i kierowaniu gospodarką narodową Bułgarii. Przemysł naftowy i rafineryjny przekształciły się w nową gałąź gospodarki narodowej. Produkcja węgla z 2,9 mln ton w roku 1939 wzrosła do 25 mln ton w r. 1963. Rozbudowano kopalnictwo węgla brunatnego w zagłębiu „Marcica — Wschód” pod koniec 1963 r. Bułgaria wyprodukowała ponad 7.300 mln kilowatogodzin energii elektrycznej. W planach perspektywicznych pod koniec 1980 r. produkcja energii elektrycznej wzrosnie do 55 miliardów kilowatogodzin.

Poszukiwania geologiczne w efekcie dały nowe pokłady rud żelaznych (w pobliżu Sofii) co stworzyło warunki do budowy kombinatu metalurgicznego, największego na Bałkanach. Po zbudowaniu kombinatu hutniczego „Lenin” w roku 1963, dostarczył pierwszej surówki również kombinat metalurgiczny „Kremikowcy”. Już w pierwszym roku swej eksploatacji dostarczył on gospodarce narodowej 1100 tys. ton surówki. Rozbudowie również uległy kopalnie rud metali w górach Rodopy, zbudowano zakła-

„Karol Marks” nad rzeką Dewnia, zakłady celulozowe „St. Kirdijew”, w Kirczyn i w pobliżu Orechous, rafineria ropy koło Burgas, fabryka kalafonii w Welingradzie, fabryka drożdży paszowych w Rozłogu i wiele innych zakładów. W ciągu ostatnich 6-ciu lat wartość przemysłu chemicznego z 76 mln wzrosła do 260 mln lewów.

Obok przemysłu maszynowego i metalurgicznego nie mniejsze sukcesy ma przemysł spożywczy i włókienniczy. Przedsiębiorstwa tych gałęzi przemysłu zostały zorganizowane i wyposażone w nowe maszyny i urządzenia. Rozszerzył się wachlarz produkcyjnych artykułów a jakość produkcji ogromnie się poprawiła.

Znaczny postęp uczyniło rolnictwo. W czasach przedwojennych istniało w Bułgarii milion sto tysięcy karłowatych gospodarstw wyposażonych w prymitywne narzędzia. Dziś istnieje 980 spółdzielni produkcyjnych i 85

W poprzednich reportażach z chciałem czytelnikom pokazać Bułgarię od strony krajoznawczej, w tym reportażu chcę natomiast przedstawić dorobek kraju po dwudziestu latach niepodległości.

20 lat to krótki okres w historii kraju, ale doniosły dla kraju, który wieki całe eksploatowany był przez najeźdźców. Zacošana gospodarka, na skutek przemian społeczno-politycznych dźwignęła się, a planowy charakter kierowania gospodarką narodową sprzyjał zlikwidowaniu w krótkim czasie zacošana gospodarczego, zarówno w przemyśle jak i rolnictwie. Nastąpił nienotowany dotąd rozkwit dobrobytu materialnego i rozwój kulturalny mas ludowych. Z prymitywnego kraju rolniczego Bułgaria wyrosła na kraj przemysłowy. Zmieniono radykalnie strukturę gospodarczą kraju, stworzono potężny system elektroenergetyczny, który zapewnił dostateczną ilość energii elektrycznej gospodarce narodowej oraz zaspokoili potrzeby rolnictwa. Rozwinięto nowe gałęzie przemysłu, metalurgię

BUŁGARIA PO DWUDZIESTU LATACH

dy ołowianocynkowe w Kardiali i kombinat miedzi im. Georgi Damianowa w Pirdop. W pobliżu Płowdiw wybudowano kombinat metali nieżelaznych, a wkrótce zostanie oddana do eksploatacji odkrywkowa kopalnia miedzi „Medet” i budowana koło niej fabryka flotacyjna. Produkcja koncentratów ołowiowych zwiększyła się 45 razy, zaś koncentratów cynkowych ponad 60 razy.

Wśród innych gałęzi przemysłowych, przemysł maszynowy zajmuje jedno z pierwszych miejsc. W ciągu 20 lat produkcja jego wzrosła 117 razy. W Bułgarii produkuje się nie tylko maszyny rolnicze, ale również maszyny do obróbki metali, urządzenia dla przemysłu spożywczego, maszyny przedziałnicze, elektrowozy, ciągniki elektryczne, urządzenia pomiarowe i energetyczne i budowa okrętów.

Poważne miejsce zajmuje w gospodarce narodowej kraju przemysł chemiczny. Reprezentują go zakłady nawozów azotowych w Dymitrowgradzie i koło Starej Zagory, fabryka sody



państwowych gospodarstw rolnych. Do dyspozycji ich jest 55 tys. hektarów i wielka ilość maszyn rolniczych. Dzięki nawodnieniu i melioracji, zwiększył się obszar pól uprawnych. W klimacie ciepłym, gdzie lato jest długie i gorące, szczególnie duże znaczenie ma sztuczne nawadnianie. Powierzchnia pól obecnie nawodnionych wynosi 900 tys. ha. Nowoczesna uprawa roli pozwoliła na osiągnięcie większych plonów. W planach Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej, podziału pracy i specjalizacji, Bułgaria specjalizuje się w produkcji warzyw, owoców, winogron, tytoniu itd.

Na północy kraju, jadąc w stronę Rumunii, podziwiać możemy olbrzymie pola winorośli i dorodnej pszenicy. Eksport winogron i produkowanego z nich wina z każdym rokiem wzrasta. My szczególnie możemy być z tego zadowoleni, bo wymiana gospodarcza, którą nasze kraje stosują, pozwoli nam w okresach, w których brak warzyw, korzystać z produktów żyznej ziemi bułgarskiej. Dla przykładu podam, że w r. 1955 wymiana towarowa wynosiła zaledwie 15 mln rubli, to w roku, bieżącym osiągnęła już kwotę 64 mln rubli, czyli wzrosła czterokrotnie. Coraz więcej rozszerza się wymiana kulturalna, kontakty między organizacjami politycznymi i społecznymi, oraz ruch turystyczny.



- 1 — Sofia
- 2 i 3 — Burgas — czarnomorski port
- 4 — Buduje się fabryki i kopalnie...

czarną i kolorową, przemysł maszynowy i chemiczny. Rozbudowano przemysł lekki i spożywczy, rozwinięto eksport, przebudowano na bazie socjalistycznej rolnictwo.

W ciągu ubiegłych 20 lat, z których trzy poświęcone były odbudowie zniszczonej gospodarki, globalna produkcja przemysłowa zwiększyła się ponad 17 razy. Produkcja roślinna do roku 1962 wzrosła o 88,3%, a hodowlana o 51,2% w porównaniu z rokiem 1959.

Poziom dochodu narodowego w roku 1963 był trzy i pół raza wyższy niż w roku 1939. Produkcja przemysłowa przez cały ten okres wzrosła przeciętnie o 10% rocznie. Szczególnie duże osiągnięcia w rozwoju gospodarki narodowej notuje naród bułgarski po kwietniowym plenum Komitetu Centralnego partii, które zlikwidowało subiektywizm i

G

dy wspomnę dzień po dniu – wydaje mi się to wszystko niewiarygodne. Wydaje mi się, że to co było, po prostu nie zdarzyło się, albo to co jest – nie istnieje...

A przecież i tamte dni były i dnie dzisiejsze snują się jeden za drugim.

Idąc ulicą, szliśmy zawsze ramię w ramię. On wysoki szczupły, a że ja jestem „taka mała” pochylał się ku mnie nie tylko głową, ale zniżał podtrzymujące mnie ramię, był czujny w tym pochyleniu, czuły i troskliwy. Znajomi kłaniali się nam, odpowiadali na nasz ukłon z dyskretnie tłumionym uśmiechem. Moja koleżanka wręcz mi powiedziała:

– Tereso, jak wy idziecie ulicą? Zupełnie jak zakochani. A to przecież minęło już dwadzieścia lat jak tańczyłam na waszym weselu. Śmiałyśmy się obie.

– Rzeczywiście, jak ten czas szybko leci... Mam na myśli, ten powojenny czas. Dzieci spieszą się z rośnięciem. Moja Genia wybiera się za mąż.

– Co? Ta mała Genia?

– Już nie mała. Panna dziewiętnastoletnia.

– Za kogo?

– Ach, poznali się niedawno. Jest chemikiem, człowiek młody, ale już na stanowisku. Nawet nieźle zarabia. Radzę im jeszcze z rok poczekać, ale nie chcą, bo właśnie szykuje im się mieszkanie. A wiesz, jakie to ważne...

Ażeby dać pełniejszy obraz o mnie, muszę powiedzieć, że cały świat moich zainteresowań zamykał się w domowym kręgu: mąż, dzieci, dom. Nie pracowałam zarobkowo, ale pensją męża gospodarowałam bardzo oszczędnie.

Nigdy nie przeczynałam, że wybuchnie taka „bomba” u mnie i zrujnuje mój długoletni ład rodzinny i domowy. Zaczęło się tak:

Rozległ się gwałtowny dzwonek u drzwi wejściowych. Wieczór był późny, szykowałam się do snu. Szybko narzuciłam podomkę i pobiegłam otworzyć. We drzwiach stała Genia z miesięcznym Antosiem na rękach, trzyletnia Hania czepiała się jej spódnicy. Genia była wzburzona i zapłakana, Hania płakała, niemowlę krztusiło się i kwiliło: obraz niezszczęścia i rozpacz. Z ledwością tę trójkę z mężem uspokoiłm. Gdy dzieci nakarmione usnęły, Genia powiedziała:

– On mnie uderzył. Już nigdy do niego nie wrócę.

Zgroza tych słów nie mieściła nam się w głowie. Nasze przykładne małżeństwo nie znało podobnych scen. Mąż był oburzony. Zaciśkał pięści, twarz mu czerwieniała i tylko ze względu na śpiące dzieci hamował lawinę grzmiących słów. Zdecydował:

– Zostaniesz w domu.

Genia mówiła:

– Byliśmy z dziećmi na spacerze. Jedną ręką popychałam wózek z Antosiem, drugą trzymałam Hanię za rączkę. Pomiędzy nami płatała się siatka z zakupami, którą także musiałam trzymać. Zawołałam do męża idącego swobodnie obok:

– Weź przynajmniej siatkę ode mnie.

– Gdybyś mi tego nie powiedziała, na pewno – wziąłbym. Ale teraz, nieś sama – powiedział.

Więc niosłam siatkę, ciągnęłam Hanię, popychałam Antosia. Wróciliśmy do naszego mieszkania. Nakarmiłam, umyłam dzieci i ułożyłam do snu. A on zaraz w te słowa: – Zrób kolację, jestem głodny.

– Gdybyś mi tego nie powiedział, na pewno zrobiłabym. Ale teraz – zrób sobie sam.

Tak było. I on ją uderzył. Zdawałoby się, że taki kulturalny człowiek z wyższym wykształceniem...

Dni i wieczory w naszym domu potoczyły się teraz inaczej, lecz w drugim miesiącu sięgnęliśmy do naszych oszczędności w PKO. W następnym także. W tej przerażającej się sytuacji proponowałam Geni:

– Ja się zajmę domem i dziećmi. Ty rozejrzyj się za pracą. Skończyłaś Technikum Ekonomiczne...

Lecz Michał oburzył się.

– Ona przecież karmi Antosia.

– Mogę jej dowozić dziecko raz dziennie do karmienia.

– Nie. To ty możesz iść do pracy.

Spojrzałam ze zdziwieniem na Michała. On pracował w biurze jako księgowy, a ja zajęta wciąż domem i dziećmi nigdy nie myślałam o zarobkowaniu. Nie miałam zawodu.

Stella Laskowicz

OWOC ŻYWOTA

Więc w następnym miesiącu zaproponowałam Geni by napisała do męża. Przecież dobrze zarabia, mógłby przysyłać na dzieci. Napisała. Odpowiedź przyszła szybko.

„Wróć. Twój dom czeka na ciebie, i ja czekam, i moja pensja czeka na ciebie. Zaczniemy życie od nowa. Postaram się, byś miała ze mnie pociechę.”

Przechodził miesiąc za miesiącem. Minęła zima. Nic się nie zmieniło, nie nadeszła żadna przesyłka pieniężna, ani on nie zjawiał się osobiście. Nawet nie wiem jak do tego doszło, że mąż oddawał córce pensję, ja byłam na uboczu. Antos już siedział w łóżeczku, albo chwyciwszy się poręczą dźwigał się na nóżki.

Któregoś wieczoru postawiłam Geni ultimatum: albo pójdzie do pracy, albo wróci do męża.

Rozpętała się burza. Genia krzyczała. – Jak mnie wypędzacie, to pójdę sobie. Zabieram dzieci i idę.

Porwała Antosia na ręce, okręciła chustą i Hanię pociągnęła za sobą. Mimo, iż mąż ją wstrzymywał, wybiegła na ulicę. Wróciła do swego męża. Czekał na nią. Mówił, że czekał na nią codziennie. Przepraszał. Przysięgał poprawę, ale o tym wszystkim dowiedziałam się dopiero wiele lat później.

Mój Michał stał się człowiekiem nie do poznania.

– Wyrzuciłaś z domu dziecko, teraz ja ciebie nie chcę znać.

– Opanuj się Michale. Jest słuszną rzeczą że Genia, jeśli nie chce znaleźć sobie pracy, wróci do męża. Przecież Michale – nie możesz ty z Genią żądać, ażebym ja teraz na stare lata szła gdzieś sprzątać, bo przecież zawodu nie mam. Wszystkie swoje lata – wam poświęciłam. Tobie i dzieciom.

Michał żądał rozwodu. Nie zgodziłam się. Po roku podał sprawę do sądu.

Byłam sama. Byłam kobietą samotną – mimo licznej rodziny.

Genia przychodziła odwiedzać ojca. Przechodziła wówczas z dziećmi przez mój pokój. Patrzyłam na nich. A ona prowadziła dzieci za rączki i mówiła do ociągającej się Hanusi, która rwała się ku mnie.

– Haniuś, zakryj oczka rączkami i nie patrz w tamtą stronę. Chodź przedzej.

Patrzyłam na to. I pozostawałam sama. Wobec braku środków do życia, szukałam pracy. Wzięłam chałupnicze zycie do domu.

Któregoś dnia otrzymałam wezwanie do Sądu w sprawie rozwodu.

Koszmarne to był dzień.

Ciche ścieżki mego życia moją serdeczną krwią zdeptane stały się raptem zaciętym przedmiotem dyskusji. Za i przeciw. Lecz, o dziwo! Przeważało... za! To znaczy, że świadkowie brali moją stronę. Jak poprzez wielki szum morza słyszałam: „Wysoki Sądzie... Wysoki Sądzie... Przez dwadzieścia pięć lat byli wzorowym małżeństwem... a jak szli ulicą – to szli tak... a jak córka zaczęła brzdącić... przychodziła do ojca po pieniądze... a jak szli przez jej pokój to Hanusi kazała oczka zasłaniać... Wysoki Sądzie... itd.”

Czułam się jak na Sądzie Ostatecznym. Czy płakałam? Już nie wiem. Ale „Wysoki Sąd” zapłakał. Mimo, iż nie wyraziłam zgody na rozwód, nakazał Michałowi płacić mi 500 zł miesięcznie i zakazał Geni składać wizyty ojcu. Owszem, mogą się widywać, ale gdzie indziej.

Po skończonej rozprawie Sędzia zaoferował mi pracę w swoim domu za dobrym wynagrodzeniem. Przyjęłam. Stałam się znów człowiekiem godnym zaufania i szacunku. Zostałam gosposią i wychowawczynią 5-letniego synka i praca ta odpowiadała mi. Byłam w swoim żywiole, znalazłam drugi dom.

Wieczorami robiłam samotne spacerki, a gdy zmierzch zapadał jak złodziej skradałam się pod jasno oświetlone okna Hanusi.

Aż któregoś wiosennie pachnącego wieczoru minąwszy okna Hanusi usłyszałam za sobą „bapsiu, bapsiu...” Tupot drobnych nóżek i

mała dziewczynka wpadła mi w objęcia śmiejąc się i płacząc jednocześnie.

– Bapsiu, bapsiu... Ja codziennie uwałam w oknie, ale mamusia mi zabrania. Chciałam bapsi powiedzieć, że ile razy przechodziłam przez jej pokój i zasłaniałam rączkami oczka, to tak szeroko rozstawiałam paluszki, że ja widziałam bapsi. Naprawdę, widziałam...

Kłęczałam na chodniku ściskając i całując Hanusię. Robił się zator, bo co ciekawsi przystawali obok. Z otwartego okna zabrzmiał Geni głos:

– Hania! Do domu. Przedzej...

Odprowadziłam ją do bramy i poczekałam aż zniknęła w drzwiach mieszkania.

Moja sytuacja finansowa poprawiła się znacznie. Ubierałam się ładnie, mogłam chodzić do fryzjera, miałam zgrabne buciki, modną torebkę, czułam się zdrowiej i lepiej. W Ośrodku Zdrowia systematycznie leczyłam serce. Zainteresowałam się możliwościami dokształcania się i dysponując wolnymi wieczorami zapisałam się do Liceum. Uczylałam się jak młoda panna i sama byłam zdziwiona jak chłonny był mój umysł. Po roku zdałam maturę i zapisałam się do dwuletniego Technikum.

Przez cały ten czas Michał przechodził przez mój pokój i obojętnym okiem spoglądał najpierw na jazgotliwie terkoczącą maszynę do szycia, potem na stolik mój zarzucony książkami.

Kiedyś podeszła do niego i zatrzymałam go. Nieśmiało położyłam rękę na jego ramieniu. Był taki wysoki...

– Michale – rzekłam i głos mój zabrzmiał jakoś ochryple. Coś tam się zepsuło w gardle. Spojrzał na mnie z góry. – Michale... przebaczymy sobie nawzajem. Pragnę zgody z tobą. Patrz, co stało się z Olesiem. Jest już w więzieniu. A co będzie dalej...

Odrzącił mnie.

– Daj mi spokój. Nie chcę ciebie znać. Zgódź się na rozwód.

– Michale... w imię czego? Przecież Genia pogodziła się z mężem i żyją w zgodzie... Przecież sama go sobie wybrała...

– Zgódź się na rozwód. To wszystko, co od ciebie żądam...

Zgodziłam się.

Skończyłam Technikum i Sędzia K., mój dotychczasowy chlebodawca umieścił mnie w biurze notarialnym. Pracowałam samodzielnie i byłam zadowolona z pracy choć niewiarygodnie ciężka i długa wiodła tam droga.

Któregoś wieczoru Michał wyszedł ze swego pokoju z walizkami, postawił je obok drzwi i wyjąwszy klucz z kieszeni przekreślił w zamku dwa razy. Powiedział:

– Wyprowadzam się a pokój ten przeznaczam dla Olesia. Po powrocie z wojska – tu zamieszka. Klucz oddam w Urzędzie Mieszkańceniowym. Nie wolno ci tu wchodzić.

Nawet bez mojego starania klucz zwrócono mi z Urzędu ze słowami:

– Mieszkanie należy do Pani i jej syna.

Dopiero po kilku tygodniach doszła mnie wiadomość, że Michał ożenił się i zamieszkał u niej. Jego ślub przeszedł po mnie bez większego wstrząsu i nie sądziłam, że Genia tak tragicznie to odczuje. Nasi wspólni znajomi powótrzyli mi jej słowa: – Zawiadłam się na ojcu. Nie przyjęła zaproszenia na jego imieniny. Nie chciała tam pójść. Złośliwi nawet dodali: – Oho, młoda małżonka przypilnuje pensji męża.

Siedziałam samotnie przy otwartym oknie. I znów był maj. Dojrzałam jakieś zbliżające się postacie ulicą. Młodzieniec w wojskowym mundurze z wianką kwiatów.

– Przecież to... Oles. Zapewne otrzymał urlop. Obok Genia, przed nią biegną dzieci. Jest i zięć. Hanusia trzyma Antosia za rączkę i pierwsza dostrzegła mnie w oknie. Wyciągając rączkę z kwiatami wołała:

– Babciu... (O, jaka już poprawna wymowa) babciu... Te kwiatki dla ciebie. Patrz, jakie ładne! Idziemy do ciebie!

Oles zasalutował po wojskowemu. – Cześć, mamo!

Brzmiało to trochę jak „cześć, Balbinko” w telewizji, ale mnie to strasznie wzruszyło. Genia ujrzawszy mnie w oknie zaczerwieniła się, stanęła, wahała się... Mąż zdecydowanym ruchem ujął ją pod ramię.

Za chwilę – wejda...

WARSZAWA - ZA CZASÓW CANNALETTA



I DZIŚ...



Polska międzywojenna była krajem słabo rozwiniętym. Rząd przedwrześniowy nie dorósł do kierowania krajem i narodem. Po odrzuceniu przez rząd polski prowokacyjnych roszczeń terytorialnych. Hitler zdecydował wojnę. 1.IX.1939 r. wojska niemieckie bez wypowiedzenia wojny zaatakowały Polskę. Armie niemieckie działające w Polsce liczyły 1,6 mln ludzi, podczas gdy armia polska liczyła zaledwie 1 mln niezbyt odpowiednio uzbrojonego wojska. Jeszcze większa była przewaga w wyposażeniu. Wobec ok. 400 samolotów polskich, Niemcy dysponowali ok. 3.000 samolotów. Podobnie sytuacja przedstawiała się z bronią pancerną, Niemcy mieli przytłaczającą przewagę broni pancernej.

Temu, że armia polska była słabo uzbrojona winien był rząd sanacyjny, który wrogo usposobiony był do dobrze żyjącego mu sąsiada - Związku Radzieckiego, widząc w nim wroga, a nie chciał dostrzegać prawdziwego wroga, który z każdym rokiem od momentu dojścia Hitlera do władzy, kręcił bat na Europę - Niemiec hitlerowskich.

Zła polityka rządu przedwrześniowego zaskoczyła Polskę, nieprzygotowaną do wojny.

26 LAT TEMU...

powiedziała notą, że przestrzegać będzie tej zasady, jeżeli i Niemcy ją uszanują.

Na uroczystym posiedzeniu Reichstagu - Hitler - bezczelnie kłamał „że nie zamierza prowadzić wojny z kobietami i dziećmi”. Jednocześnie przekazał swą władzę na wypadek śmierci Goeringowi, po jego śmierci Hessowi, a po nim Radzie Wojennej. O godz. 10,30 rozpoczęło się posiedzenie rządu w Paryżu pod przewodnictwem prezydenta Lebrun. O godz. 11,30 posiedzenie rządu orytyjskiego. Król Jerzy VI podpisał akt o całkowitej mobilizacji armii, lotnictwa i floty. 2 września samoloty niemieckie zjawiają się nad Warszawą, Żyrardowem, Pruszkowem Katowicami i innymi miastami Polski. W sobotę ukazuje się pierwszy komunikat: „Żołnierze słuchajcie! woła radio - Żołnierze wojsk lądowych, morskich, powietrznych. Według obliczeń, w dniu wczorajszym oddziały nasze zniszczyły 100 nieprzyjacielskich czołgów, z tego w rejonie Wielunia 70 i na Śląsku 30. Artyleria przeciwlotnicza i nasze lotnictwo pościgowe strąciło 34 samoloty niemieckie. Ludzie dobrej woli proszeni są o podanie tej wiadomości spotkanym oddziałom wojskowym jak i pojedynczym żołnierzom. Naczelny Wódz pozdrawia dzielną załogę Westerplatte i liczy na dzielne wytrwanie na posterunku”. Od piątku godz. 4,45 do soboty za-



„Podjęliśmy z barbarzyństwem niemieckim śmiertelną walkę. Walkę tę prowadzić będziemy do końca. I niech nikt nie ludzi się, iż moja czy wasza śmierć walkę tę przerwie. Po nas przyjdą inni i walczyć będziemy stale bo walczymy o sprawiedliwość, o prawdę, o wszystko co w życiu jest piękne i przeciw wszystkiemu co jest podle i złe... Będziemy walczyli, walczyli, walczyli, do zwycięstwa”. (z przemówienia radiowego St. Starzyńskiego we wrześniu 1939 r.)

Zginął bohatersko prezydent Warszawy. Warszawa padła. Nad całym krajem zapanował terror hitlerowski. Wojna pochłonięła 6 mln istnień ludzkich, z tego 5,4 mln zginęło w komorach gazowych i masowych egzekucjach, 0,6 mln w działaniach wojennych. Polska ze wszystkich krajów, które walczyły z Niemcami poniosła największe straty w ludności, prawie 22%. Okupant z całą premedytacją przystąpił od pierwszych dni okupacji do wyniszczenia narodu polskiego, likwidując przede wszystkim inteligencję. Zginęło 7,5 tys. lekarzy, 6 tys. naukowców, profesorów i nauczycieli. Przeszło 5,5 tys. adwokatów i sędziów, ponad 2 tys. duchownych katolickich. Pozostała część narodu miała dostarczyć rąk do pracy niemieckim „nadludziom”. Na przymusowe roboty do Niemiec wysłano 2,5 mln osób i drugie tyle wysiedlono z terenów włączonych do Rzeszy. Straty materialne oszacowane zostały na 258 miliardów zł wg cen z 1939 r. Zniszczeniu uległo 162 tys. budynków mieszkalnych w miastach o łącznej wartości 4,1 mld. zł, 354 tys. zagrod wiejskich o wartości 1,5 mld. zł oraz 968 tys. gospodarstw domowych. Zniszczeniu uległa 1/3 przedwojennej wartości urządzeń przemysłowych. Straty w rolnictwie stanowiły 35%, w leśnictwie - 28% czyli 75 mln m³ masy drzewnej. Transport kolejowy utracił 84% swego posiadania a telekomunikacja 62%. Straty w dobrach kultury wynosiły 43% a służba zdrowia 55%. Nieobliczalne straty poniosła polska zabytkowa architektura, zginęło wiele dzieł sztuki, zbiorów archiwalnych i bibliotecznych. Olbrzymie straty jakie wyrządził nam okupant, muszą być dla nas przestrogą. Państwo nasze wiele uczyniło, by zatrześć ponure ślady wojny, to był nasz wspólny zbiorowy wysiłek i to co zbudowaliśmy musimy strzec. Niestety nie wróci nikt życia milionom istnień ludzkich, które pochłonęła wojna.

ANDRZEJ PŁUG

1. Prezydent St. Starzyński.
2. Tablica ostrzegawcza w pobliżu obozu śmierci.
3. Kombinat krematoryjny, w którym gazowano i palono ciała 2 tys. osób dziennie.

Niemiecka prasa pełna była fałszywych informacji o rzekomych prowokacjach polskich na granicach Rzeszy. „Prześladowania Niemców w Polsce... Zbrodniczy napad na placówkę niemiecką... Zamach bombowy na lokal niemiecki w Katowicach...” Oto tytuły w niemieckich dziennikach. Duch odwetu rósł w Niemczech. Niemiecka Biała Księga wydana w końcu 1939 roku mówiła o 44 incydentach rzekomo dokonanych przez Polaków.

„Polska wkroczyła na drogę gwałtu i w ten sposób stworzyła taką sytuację, że zmusiła rząd niemiecki, aby na gwałt odpowiedzieć gwałtem”.

Ambasador brytyjski Howard Kennard notował w sierpniu: „25 sierpnia miało miejsce 6 incydentów granicznych, wszystkie wywołane przez Niemców, którzy strzelali do polskich posterunków granicznych”. 31 sierpnia Niemcy w mundurach polskich napadli na radiostację w Gliwicach i po ostrzelaniu zostawiając trupa niemieckiego kryminalisty, wycofali się. Fakty te znalazły potwierdzenie w czasie procesu norymberskiego, a jeden z uczestników napadu Józef Grzymek, skazany został przez sąd polski na karę śmierci.

24 sierpnia 1939 roku ogłoszono w Polsce powszechną mobilizację. W piątek pierwszego września o świcie pierwsze eskadry niemieckie bombardowały Kraków, Częstochowę, Tczew, Puck, Grudziądz. W Warszawie niemiecka ambasada odcięta od świata. To samo z ambasadą polską w Berlinie. Opiekę nad Niemcami w Polsce objął poseł holenderski Bosch von Rosenthal.

Prezydent USA, Roosevelt, po otrzymaniu wiadomości o wybuchu wojny wezwał obydwa państwa do niebombardowania otwartych miast i ludności cywilnej. Polska od-



łoga wytrzymała 6 ataków nieprzyjaciela. Płk R. Umiastowski w przemówieniu radiowym zapewnił, że Hitler zostanie zwyciężony. Na czołowych szpaltach gazet wielkie tytuły: „Wspaniały sukces Armii Polskiej w pierwszym dniu wojny”. Komunikat nr 2 Sztabu Głównego wydany w sobotę mówi: „Dotychczasowa działalność lotnictwa niemieckiego powoduje straty głównie pośród ludności cywilnej”. Monotonny głos spikera przerywał audycje radiowe po to, aby mówić wciąż te same słowa: „Uwaga! Uwaga! Nadchodzi... Alarm dla miasta Warszawy”. 8 września siły napastnicze znalazły się u wrót stolicy. Rząd uciekł. Pozostała ludność ze swym prezydentem St. Starzyńskim, i słabo uzbrojone pełne zapалу wojsko, które miało bronić stolicy. Dwa tygodnie trwał szturm Warszawy. Wojsko i ludność dokazywały cudu męstwa i odwagi. Z ratusza płynęły, przebijając się przez huk wystrzałów słowa otuchy i wytrwania. To wołał nieustraszony prezydent St. Starzyński:



PRZEMYTNIICY W HABITACH

W odległości zaledwie 100 metrów od Castel Gandolfo, letniej rezydencji rzymskich papieży, w miejscowości Albano znajduje się niewielki klasztor ojców franciszkanów. Tak dostojne sąsiedztwo powinno — zdawać by się mogło — dodatkowo wpływać na pobożność skromnych braciszczków, tymczasem... Tymczasem za murami tego niewielkiego konwentu, liczącego raptem kilku ojców, działy się od jakiegoś czasu rzeczy co najmniej dziwne i zaskakujące, nie liczące ani z powagą sąsiedztwa, ani — tym bardziej — z godnością zakonnika, powołanego, bądź z bądź, do życia ubożego i pobożnego.

Przed kilku laty ówczesny przeor tego konwentu, ojciec Fedele Boccito, otrzymał sporą sumkę na rozbudowę zbyt skromnych pomieszczeń klasztornych. Jednakże obrotny przeor, mający swoisty pogąd na inwestowanie pieniędzy w martwe mury, tak umiejętnie gospodarował otrzymaną sumą, że rozplynęła się bez śladu. Ojciec Boccito nie mylił się w swoich poglądach: dotychczasowe budynki okazały się aż nazbyt obszerne, co — jak się dalej okaże — wielce skomplikowało dalsze życie zakonników, ale o tym za chwilę. Sam zaś przeor musiał zmienić miejsce pobytu. Został bowiem odwołany ze swojego stanowiska, gdyż — jak oficjalnie podano — sprzeniewierzył kilka milionów lirów, właśnie te kilka milionów, które były przeznaczone na rozbudowę klasztoru.

Sprawa ucichła. Nazwa klasztoru, który powrócił do normalnego życia, tak przynajmniej się zdawało, zeszała ze szpał włoskich gazet i nic nie wskazywało na to, że pobożni braciszczkowie szykują nową niespodziankę.

Przed niewieleu miesiącami nazwa tego klasztoru znów pojawiła się na łamach włoskiej prasy. Dokonano bowiem włamania do pomieszczeń klasztornych. Wśród skradzionych przedmiotów znajdował się m.in. drogocenny XVIII-wieczny obraz św. Franciszka, patrona konwentu. Wprawdzie braciszczkowie nie ujawnili kradzieży, ale została względnie szybko odkryta. Rzymska policja wpadła na jej ślad całkiem przypadkowo. Przesłuchując pewnego złodziejzaka, posądnego o drobne przestępstwa, usłyszała od niego ciekawe wyznanie. Ów typ, chcąc prawdopodobnie zatuszować jakieś grubsze a nieznanne policji sprawki, zaczął śpiewać o dokonanym włamaniu do klasztoru. W efekcie przyznał się do przestępstwa, o którym nikt — poza braciszczkami — nie wiedział. Braciszczkowie próbowali w trakcie przesłuchania wykręcić się sianem. Dopiero przyparci do muru, przerwali swoje uporczywe milczenie i potwierdzili zeznania wamywacza. Pytani zaś o przyczynę nieujawnienia kradzieży, powiedzieli z niewinnymi minami: „*Nie chcieliśmy przez rozgłaszanie tej wieści wywołać skandalu*”. Odpowiedź — zaiste — zaskakująca! Ojcowie obawiali się, że okradzenie klasztoru może wywołać skandal wśród okolicznej ludności. Tymczasem tę ludność zaskoczyło coś zupełnie innego.

Otóż pewnego dnia pobożni ojcowie zamienili swoje wysłużone rowery, którymi dotychczas jeździli po jałmużnie, na luksusowe samochody, którymi zaczęli rozjeżdżać się w wolnych chwilach od kontemplacji, a tych wolnych chwil było coraz więcej, natomiast coraz mniej poświęcano czasu na pobożne rozmyślenia. Nic więc dziwnego, że postronni obserwatorzy, a tych nie brakło wśród okolicznej ludności, zaczęli zastanawiać się, skąd ojcowie czerpią pieniądze na utrzymanie tak luksusowych samochodów. Wszak nie z jałmużny, zwłaszcza że poniechali zbierania jej, w dodatku nie tak dawno ponieśli dość znaczne straty materialne, gdyż skradzionych przedmiotów nie odzyskali, mimo że złodziej został ujęty.

To nieujawnienie kradzieży i ten nagły wzrost dobrobytu, który uwidaczniał się choćby w nabytych samochodach — dziwnie się kojarzy i powoduje pytanie, dlaczego ojcowie milczeli o kradzieży. Czyżby obawiali się kontaktów z policją?

Tymczasem czas płynął. Aż pewnego dnia wybuchła bomba, a właściwie cała wiązanka bomb.

Był maj 1965 r. W komisariacie rzymskiej policji, cieszącej się zasłużoną opinią najbardziej gnuśnej i najbardziej nieudolnej, panował spokój. Policjanci — zadowoleni z życia i z siebie — palili leniwie papierosy. Nic nie zapowiadało przerwania „zasłużonego” odpoczynku przy służbowym biurku. Nagle przed gmachem policji pojawił się samochód. Gwałtownie zahamował. Zza kierowcy wygramolił się brodaty mężczyzna w habitie franciszkanina. Dyżurny policjant wyskoczył z gmachu i podbiegł do samochodu. To, co zobaczył, było tak zaskakujące, że aż znieruchomiał z otwartymi ustami. W samochodzie leżał zakrwawiony mężczyzna, obok przykucnęły dwie siostry zakonne.

Tymczasem zakonnik, którym był ojciec Antonio Corsi z klasztoru w Albano, zdenerwowanym głosem opowiadał:

„Biedak, został napadnięty przez bandytów na drodze, pobity i porzucony... Dwóch młodych ludzi znalazło go, powiadomili mnie i przywieźliśmy go tutaj”.

Nic poza tym nie potrafił ojciec Corsi wyjaśnić. Nie znał pobitego, nie wiedział skąd pochodzi, ani co robił w pobliżu klasztoru. Również siostry zakonne nie umiały dać jakichkolwiek wyjaśnień. Sploty pobożnie ręce i trwały w skupionym milczeniu, jakby to, co się wokół nich działo, nie było godne uwagi. Przesłuchanie zaś rannego było niemożliwe, gdyż z upływu krwi i wyciężenia popadł w omdlenie.

Policjantom nie pozostało nic innego, jak udać się na miejsce wypadku. Wsiadli do samochodu i pojechali na poszukiwanie bandytów. Na drodze, wiodącej z Rzymu do Albano, natknęli się na... swoich kolegów — karabinierów, którzy również podążali w stronę klasztoru, i którzy opowiedzieli rzymskim policjantom dość ciekawe — chociaż szalenie osobliwe — rzeczy. Otóż dzwonił do nich przeor klasztoru w Albano.

„Proszę natychmiast przyjechać — denerwował się ojciec Oreste Milani. — Pod naszym murem klasztornym leży jakiś człowiek. Jest martwy!”

Sprawa zaczęła być nader interesująca. Pod murami klasztoru, który już dwukrotnie był obiektem sensacyjnych wydarzeń — rozegrała się jakaś tajemnicza historia. Finał — jeden ciężko ranny i jeden nieboszczyk. Zaniepokojeni policjanci, podświadomie przewidując, że na tym się nie skończy, połączyli się z karabinierami i wspólnie podążyli do Albano.

Przed bramą klasztorną oczekiwał ich tłum ludzi, żądnych sensacji, oraz ojciec Oreste Milani, wielce zdenerwowany i zaniepokojony.

Widok, jaki roztoczył się przed przybyłymi, był szalenie zaskakujący i zdumiewający. Przy bramie klasztornej, pod gruzami rozwalonego muru, leżał nieboszczyk, którym — jak się w toku śledztwa okazało — był 55-letni Pieroni Scali, przedsiębiorca przewozowy z Rzymu. Policja zabrała się wyjątkowo energicznie do pełnienia swoich obowiązków. Ojcowie zaczęli się płatać w zeznaniach — wyraźnie gmatwali, próbowali coś ukryć przed przybyłymi funkcjonariuszami, którzy tym razem nie dali zbyć się pięknymi słówkami pobożnych ojców.

Postanowiono odtworzyć przebieg wypadków. Okazało się, że mur został rozbity przez ciężarówkę, która próbowała wydostać się z zabudowań klasztornych. Wszystko wskazywało na to, że zamierzała w pośpiechu wyjechać przez bramę. Dlaczego? Co piliło szofera, że nie trafił w bramę, lecz w mur? Zastanowiło to policję. Ponieważ inwigilowani ojcowie milczeli, gdyż nie potrafili, a raczej nie chcieli uchylić rąbka tajemnicy, postanowiono przeprowadzić rewizję. Wywołało

to oburzenie i sprzeciw zakonników, którzy próbowali — powołując się na regułę zakonną, zabraniającą wstępu osobom świeckim na teren klasztoru — nie dopuścić do czynu tak karygodnego, jakim byłoby przekroczenie bramy przez policję. Ta rzekoma profanacja dała wiele do myślenia funkcjonariuszom i utwierdziła ich w przekonaniu, że zabudowania klasztorne kryją jakąś tajemnicę, pilnie strzeżoną przez zakonników, a niewiele mającą wspólnego ze sprawami religijnymi, lecz będącą natury czysto świeckiej. Wreszcie przełamano opór mieszkańców tego „skromnego” i „ubogiego” klasztoru.

Wynik przeprowadzonej rewizji przeszedł wszelkie oczekiwania. W mrocznych piwnicach klasztornych znajdowało się 36 wielkich skrzyń. Po otwarciu — oczom zdumionych policjantów ukazały się papierosy, olbrzymia ilość amerykańskich papierosów. Ich wartość oceniono potem na ok. 43 750 dolarów. Papierosy te — jak ustalono w śledztwie — były przeznaczone na czarny rynek w Rzymie. Że nie trafiły tam, że nie przyniosły spodziewanego dochodu — winę ponosi Alberto Scali, który prowadził wyładowany przemytem samochód. Młody człowiek, pełen emocji, żądny szybkiego, a przede wszystkim dużego zarobku — władował się na mur klasztorny. Walący się mur przysypał starego Scaliego oraz Foroniego. Scali, zanim odrzucono stertę cegieł, leżących na nim, zmarł. 45-letni Ermenegildo Foroni, pojękując głucho z bólu, mocno krwawił.

Brat Antonio i przeor Milani błyskawicznie podjęli decyzję. Pierwszy wystarał się do samochodu i w towarzystwie 2 zakonnic zawiózł rannego do Rzymu na posterunek policji, nie przeczuwając tragicznego dla siebie finału tego kroku, tak pochopnie podjętego. Drugi zaś zawiadomił karabinierów, że „znalazł” jakiegoś „nieznanego martwego” obok bramy klasztornej. Również niewypał. Obaj ojcowie byli przekonani, że w ten sposób oddalą od siebie i klasztoru wszelkie podejrzenia, że zwekszlują dochodzenia na inne tory. Tymczasem los — jak to często bywa — spletał figla. Wysiłki, podjęte w celu zatuszowania prawdy, nie przyniosły pożądanego wyniku, wręcz przeciwnie — zakończyły się nie po myśli obu ojców.

Następnego dnia na łamach rzymskiej prasy ponownie pojawił się klasztor w Albano. Szczegółowy opis wypadków, uzupełniony zdjęciami członków gangu przemytniczego, nie pozostał bez echa. Na policji pojawił się pewien kolejarz ze stacji Capannelle na rzymskim przedmieściu. Rozpoznał on w Foronim mężczyznę, który poprzedniego dnia wyładowywał skrzynie z wagonu kolejowego. Koło zamykało się. Policja udała się na stację, gdzie odkryła w tym samym wagonie dodatkowo 36 skrzyń z papierosami. Ponadto zdołano ustalić, że pewien młodzieniec — prawdopodobnie młody Scali — zdążył zabrać jeszcze 44 skrzynie. Nic więc dziwnego, że ogólna wartość przemyconych papierosów została oceniona na ok. 250 000 dolarów. Niebagatelna suma, której część miała posłużyć bogobojnym ojcom do pędzenia „skromnego” życia w zaciszu klasztornym.

Jednocześnie policja zidentyfikowała Foroniego z nieznanym dotychczas przemytnikiem, który w 1961 r. przemycił do Włoch 34 wagony papierosów. Tym samym kłamka zapadła! Gang wpadł. Wpadł, bo popełnił — jak zwykle w takich okolicznościach — nierozważny krok. Chciał zagmatwać sprawę, oddalić podejrzenia, a tymczasem sprowadził sobie na kark policję. Sprawa nabrała rozgłosu ogólnokrajowego, wywołując ożywioną polemikę na łamach prasy. Klasztor został zamknięty i opieczętowany. Szesćciu jego mieszkańców skierowano na pokutę do innego klasztoru. Natomiast brata Antonio oraz czterech współników-cywiliłów zamknięto za solidnym ogrodzeniem, zwanym potocznie więzieniem, gdzie — oczekując na rozprawę — oddają się smutnym rozmyśleniom o radosnej przeszłości.

Stanowczo nie ma szczęścia klasztor w Albano.

REPORTAŻ Z PROWINCJI

Siedziba Miejskiej Rady Narodowej w Żyrardowie jest dzisiaj za mała i za ciasna. Stąd wiele wydziałów znalazło pomieszczenia w różnych częściach miasta. Wydział Kultury MRN znajduje się w małym domku przy al. Partyzantów, koło domu towarowego. Sprawami kultury zajmuje się już długie pięć lat młoda, energiczna i co najważniejsze entuzjastka wszelkich poczynań kulturalnych p. Jadwiga Tkacz.

Na wstępie naszej rozmowy otrzymujemy program intensyfikacji życia kulturalno-oświatowego miasta Żyrardowa w latach 1965—1970. Program opracowany o miejscowe możliwości.

Działalność zespołów „Echo” i „Lira”, amatorskich zespołów teatralnych, estradowych i tanecznych, Zespołu Pieśni i Tańca Dzieci Żyrardowa, szkolnych zespołów artystycznych, zespołów muzycznych i szkoły muzycznej obejmuje wychowaniem artystycznym setki uczestników.

Szeroką działalność prowadzi Uniwersytet Robotniczy ZMS, Dyskusyjny Klub Filmowy, Klub Przyjaciół Teatru, Klub Miłośników Książki, Automobilklub, Koło Brydża Sportowego i Szachistów, zespół fotografików, Towarzystwo Przyjaciół Żyrardowa, Muzeum Historii Ruchu Robotniczego, Klub „Pietrek”, Międzyzakładowy Dom Kultury, Klub PRSS, Kino „Słońce” i „Len”.

Celem zapewnienia działaczom kulturalno-oświatowym fachowej pomocy w r. 1965 otwarto Poradnię Metodyczną Kulturalno-Oświatową z inicjatywą Miejskiej Komisji Koordynacyjnej do Spraw Kultury. Poradnia posiada kilka działów: plastyczny, choreograficzny, muzyczny, teatru i żywego słowa, programowy oraz rozrywkowy umysłowych. Dotychczasowe placówki kulturalno-oświatowe skupiają się w trzech pionach:

Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Włókienniczego, Odzieżowego i Skórzanego; są to Międzyzakładowy Dom Kultury, Międzyzakładowa biblioteka z filiami, kino „Len”, Klub „Pietrek” oraz świetlice zakładowe. W przyszłości otwarty będzie ośrodek czasowy świątecznych na Hamerni w pobliżu Żyrardowa i krąg taneczny na wolnym powietrzu.

Spółdzielczość — posiada klub PRSS, ośrodek doskonalenia zawodowego „Praktyczna Pani”, świetlice spółdzielcze. W planie klub środowiskowy OSP, Międzyzakładowy Klub Prasy i Książki, którego inwestorem będzie PPUPIK „Ruch”.

Rada Narodowa sprawuje opiekę nad: Muzeum Historii Ruchu Robotniczego, bibliotekami: pedagogiczną, miejską z trzema filiami, kinem „Słońce”, Domem Kultury Dzieci i Młodzieży, szkołą muzyczną, ogniskiem muzycznym, Klubem Nauczycielskim. W planie estrada koncertowa w Parku im. K. Świerczewskiego i kino letnie.

MIĘDYZAKŁADOWY DOM KULTURY

Usytuowany jest w samym centrum miasta, przy pl. Wolności. Wybudowano go w 1913 r. W dniu swoich narodzin ochrzczone został jako Dom Ludowy im. K. Dittricha. Popularnie nazywany był „ludowcem”. Przez pięćdziesiąt dwa lata swego życia przeszedł wiele historii radosnych i smutnych. Z racji tej, że posiadał największą salę w mieście tu odbywały się wiece, zabawy taneczne, widowiska teatralne i mecze bokserskie. W czasie okupacji Niemcy tu zamykali ludzi z łapanek, by potem odwozić transportem na „roboty” do Niemiec. Po wojnie wrócił zgodnie ze swym przeznaczeniem do starych tradycji. A więc wiece, akademie, przedstawienia teatralne. Salę widowiskową po wojnie uzupełniono ekranem i jest tu kino „Len”. Część nieużytecznych dotychczas sal zamieniono na kawiarnię, salkę bilardową i brydżową, w podziemiach na tyłach domu urządzono klub ZMS „Pietrek”.

Międzyzakładowy Dom Kultury ma to do siebie, że często zmieniają się kierownicy. Jeden odchodzi, drugi przychodzi. Odbija się to na pewno ujemnie na działalności domu, ale dzięki działaczom społecznym ma i swoje sukcesy. Często tu przy-

jeżdża Teatr Ziemi Mazowieckiej, często gości Estrada, wiele nazwisk czołowych artystów przewinęło się przez deski sceniczne MDK.

Ze stałych lokalnych imprez wymienić trzeba konkurs Piosenkarstwo-Muzyczny organizowany w r. 1965 już po raz czwarty przy współudziale Referatu Kultury PMRN, ZMS, Redakcji „Życia Żyrardowa” oraz Konkurs Zespołów Muzycznych. Konkursy te odbijają się szerokim echem na całej trasie od Skierniewic aż do Ursusa. Czego dowodem są występy reprezentantów młodzieży obojga płci ze wszystkich okolicznych miasteczek i osiedli. Najlepsi mają prawo startu w eliminacjach wojewódzkich Ogólnopolskiego Konkursu Piosenkarzy Amatorów — Wykonawców Piosenki Radzieckiej.

Przy MDK istnieją: zespół instrumentalny, chór młodzieży pracującej, Robotniczy Teatr Amatorski, Teatr Młodego Widza, Teatr Poezji, Zespół Estradowy.

Jedną z ostatnich akcji MDK są niedzielne konkursy rysunkowe dla dzieci od 6 do 14 lat. Prowadzone pod okiem plastyka i nagradzane oraz najlepsze prace eksponowane na specjalnej lokalnej wystawie najlepszych prac. Akcja pożyteczna i śmiała.

ZESPÓŁ PIEŚNI I TAŃCA DZIECI ŻYRARDOWA

Poznańskie „słowiki” czyli chór Stuligrosza, mają swoją wielką sławę światową. Żyrardowiaczy pozazdrościli Poznaniowi i stworzyli własny dziecięcy zespół. W r. 1965 Zespół Pieśni i Tańca Dzieci Żyrardowa obchodzi jubileusz pięć lat istnienia. Nie jest to dużo, ale zawsze coś znaczy. Trzeba ocenić wysiłek organizatorów, a szczególnie założyciela i kierownika zespołu Tadeusza Szpaka. On też jest autorem i kompozytorem około 50 utworów śpiewanych przez żyrardowskie dzieci. Przez te 5 lat zespół dał 200 koncertów w różnych miasteczkach Mazowsza, Śląska i Mazur. Około 210 tys. słuchaczy oklaskiwało występy zespołu. Przez 5 lat przez zespół przewinęło się prawie 900 dzieci, które znalazły tu zajęcie poza szkołą i rozrywkę.

MUZYCZNO-TEATRALNE TOWARZYSTWO „LIRA”

Powstało w październiku 1906 r. Założycielami jego byli: Otto Montay, Józef Tkacz i Aleksander Weine. Fryzjer, tkacz, ślusarz. A więc robotnicy. Świadczy to o wysokim świadomości klasy robotniczej, która aktywnie uczestniczyła nie tylko w życiu politycznym miasta ale i kulturalnym. Minęła pierwsza i druga wojna światowa. Towarzystwo jednak przetrwało. Istnieje do dziś. Liczy 60 członków w tym około 30 członków to chór.

TOWARZYSTWO ŚPIEWACZE „ECHO”

Otto Montay, był pełnym inicjatywą zapalonym działaczem kulturalnym. „Lira” nie bardzo widać mu odpowiadała, mimo, że był jednym z założycieli, bo już w r. 1909 zostaje prezesem nowo zorganizowanego Towarzystwa Śpiewaczego „Echo”. Tak więc Żyrardów ma dwa towarzystwa kulturalne, które ożywiają życie miasta. Oba też znajdują wspólną siedzibę w wybudowanym Domu Ludowym. I „Echo” mimo lat ciężkich i trudnych przetrwało i dziś liczy 80 członków. „Lira” i „Echo” niejednokrotnie w ostatnich latach wspólnie urządziły koncerty i przedstawienia. I to nie tylko na terenie Żyrardowa. Wiele koncertów „Echa” oglądali mieszkańcy Płocka, Siedlec, Łodzi. Artyści-amatorzy zachwycali publikę, tylko nikt nie zwracał się do nich o autografy, czego bardzo żałują.

W r. 1964 „Echo” otrzymało I miejsce na Festiwalu Teatrów Amatorskich w eliminacjach krajowych w Łodzi. W planach perspektywicznych oba towarzystwa znajdują się w Klubie Międzyzespółowym. Tu też będzie Zespół Pieśni i Tańca Dzieci Żyrardowa, któremu dotąd patronuje Spółdzielnia Pracy „Jutrzenka”.

KOMU KSIĄŻKĘ, KOMU...

16 stycznia 1965 r. otwarto nową bibliotekę na Osiedlu Żeromskiego. Jest to już piąta biblioteka. Biblioteka Miejska we wszystkich swych filiach liczy 30.000 woluminów... i 3451 czytelników, około 24.000 woluminów to beletrystyka. Nowa placówka czytelnicza na Osiedlu Żeromskiego jest na wskroś nowoczesną. Biblioteka Miejska ma poważnego konkurenta w Bibliotece Związkowej, mającej swe filie przy zakładach pracy, w których do dyspozycji czytelników jest około 80.000 tomów.

Żyrardowskie czytelnictwo ma tradycję starą. Ruch kulturalny, który zaczął się rozwijać szczególnie aktywnie w latach rewolucji 1905 r. spowodował otwarcie w Żyrardowie bibliotek fabrycznych. W latach międzywojennych przybyła w Żyrardowie jeszcze jedna placówka czytelnicza „Zdrój” prowadzona przez rodzinę Pawła Hulki-Laskowskiego. Tu był raj dla młodzieży.

Biblioteki i czytelnice rozszerzyły dziś swój dotychczasowy program. „Książka Twój przyjaciel” — hasło dnia dzisiejszego nie jest martwym sloganem. Przy bibliotekach działają koła zainteresowań. One są podwalinami rozwoju bazy czytelniczej. Koła Przyjaciół Biblioteki, Koła Przyjaciół Książki, Koła Przyjaciół Teatru, rozwijają zainteresowanie książką, inicjują i organizują dyskusje i spotkania z autorami i reżyserami. Do Żyrardowa przyjeżdżali i St. R. Dobrowolski, i St. Centkiewicz, i Paukszt, i Żabiński. Byli i aktorzy: W. Gliński, Bielicka, Łazuka, Janowska i wielu innych.

Jednak Żyrardów to nie taka daleka prowincja, jak skrytykowała w jednej ze swoich audycji telewizyjnej, wyrządzając wielką przykrość miejscowym działaczom jak i mieszkańcom. Pewnie, że inne tu warunki. To nie stolica, nie miasto liczące kilkaset tysięcy mieszkańców, ale miasto o własnych ambicjach i dorobku.

Tu szerokim echem odbijają się organizowane „Dni Oświaty, Książki i Prasy”, „Dzień Techniki i Propagandy Produkcyjnej”, „Dni Młodości” i konkursy „Złotego i Srebrnego Kłosa”. Powstały w r. 1961 Amatorski Teatr Poezji, krzewi i sławi poezję. Werbuje młodzież szkolną do konkursów recytatorskich, Żyrardów ma i swoich poetów. Pani Tkacz — kierownik Wydziału Kultury — pokazuje mi zbiorek wierszy i melodii skomponowanych o Żyrardowie i dla Żyrardowa. Motwy czerpane z miejscowego folkloru, oparte na tradycjach walc i strajków. Z prostych wierszy, dalekich jeszcze może od rzeczywistości poezji, bije przywiązanie i miłość do rodzinnego miasta. Miasta ponurych drewniaków, smutnej schedy, sterczących kominów. Z tej miłości do miasta, z ambicji odnowy życia i ukazania bohaterkiej przeszłości powstało w r. 1964 z inicjatywą miejscowych działaczy — Towarzystwo Przyjaciół Żyrardowa. Prezesem jest Leszek Han. Krótki okres dzielący nas od dnia powstania Towarzystwa nie zamknął się jeszcze dużym dorobkiem. Towarzystwo musi nabrać pewnego doświadczenia, stworzyć wzory, skonkretyzować swoją działalność. Na razie współpracując z miejscowymi czynnikami kulturalno-politycznymi, a przede wszystkim z Muzeum Historii Ruchu Robotniczego. Nawiązało kontakty z podobnymi towarzystwami, by czerpać wzory i doświadczenia.

KINO „SŁOŃCE”

Jest najstarszym w Żyrardowie. Przed wojną stanowiło własność Myszkowskiego. W czasie wojny dostarczało rozrywkę miejscowym volksdeutschom i samym hitlerowcom, których pełno tu było w szpitalach. Polacy nie chodzili do kina. W pierwszych latach po wyzwoleniu, miesięczna frekwencja wahała się w granicach 25—30 tys. osób. W ostatnich latach notujemy spadek, który tłumaczyć możemy wzrastającą ilością telewizorów. Najstarszym pracownikiem kina, bo już równo 20 lat jest p. Czesław Dobrzyński — kinooperator, który rozpoczął tu pracę od dnia wyzwolenia. Rozpoczął i pozostaje chyba na zawsze.

*

Uzupełnieniem życia kulturalnego jest otwarty w r. 1963 Klub ZMS-u „Pietrek”, nazwany imieniem bohatera gwardzisty Piotra Krajewskiego. Klub mieści się w piwnicach MDK zgodnie z panującą ostatnio młodzieżową modą, lokowana się w przeróżnych podziemiach i piwnicach. Klub ma niedużą salę, jest przyjemny, tylko program za mało awangardowy i interesujący.

O SPRAWACH, KTÓRE OPINIA PUBLICZNA ŚWIADOMIE PRZEMILCZA

Nauczono się u nas ciskać gromy potępienia na ludzi, którym nikt nie chce podać ręki. Dość często w prasie pojawiają się artykuły potępiające prostytucję. Nie ma w tym niczego dziwnego. Wielu jednak domorosłych publicystów nie zadało sobie trudu, aby wskazać właściwą drogę tym kobietom, które zeszyły na manowce. Wielu mężczyzn (w tym również i niektórych tych, którzy piszą krytyczne uwagi pod adresem tych kobiet) korzysta „z ich usług”. Czy jednak trzeba okrywać je hańbą? Prostytutki w dużej mierze są ofiarą pewnych fizjologicznie uwarunkowanych czynników, często są to istoty seksualnie chore. Należy im się opieka i współczucie, a nie tanie potępienie.

W Wydawnictwie Łódzkim ukazała się książka Salomona Łastika pt. „Czy Sodoma i Gomora”. Nie zgadzam się z wieloma wywodami autora. Są jednak w tej książce wywniesienia godne uwagi i przekonujące. Zacytuję fragment tej książki:

„...istnieje typ kobiet lekkich obyczajów z powołania, jakby stworzonych przez naturę do takiego trybu życia... Jakie czynniki wpływają na kształtowanie się takiego typu kobiety, trudno mi powiedzieć. Możliwe, że jednym z czynników jest dopuszczenie w dzieciństwie do wczesnego, chorobliwego rozbudzenia seksualnego, możliwe, że sama budowa organu płciowego stwarza uczucie ciągłego pożądania, nienasyceńca, możliwe, że istnieje czasem jakaś choroba konstytucji takiej kobiety... Gdy dziewczyna o takich predyspozycjach chowa się w środowisku sprzyjającym wczesnemu rozbudzeniu seksualnemu, a przy tym natrafi na lajdaka, który wprowadza ją w życie seksualne i w dodatku wynagradzi pieniędzmi,

fakt taki zaważy na całej jej mentalności, upodobaniu życiowym i stanie się ona i z temperamentu, i z powołania prostytutką... A przecież można by było te prostytutki, które stanowią w swojej istocie problem społeczny, albo od wstąpienia na tę drogę uchronić, albo z tej drogi zawrócić. One to powinny być przedmiotem naszej troski, naszych wysiłków w kierunku reedukacji, zwrócenia ich społeczeństwu zgodnie z ich najskrytszymi pragnieniami”.

Do tego nie trzeba już nic więcej dodawać. Podzielałam zdanie S. Łastika. Autor sygnalizuje pewne fakty natury obyczajowej, nazywa rzeczy po imieniu i podejmuje próbę rozwiązania trudnych problemów.

(G)

UŚMIECHNIJ SIĘ

Monteskusz toczył kiedyś zacięty spór z pewnym radcą.

— Jeżeli nie jest tak, jak to panu przedstawiłem — rzekł radca — daję swoją głowę.

— Dobrze, przyjmuję — odpowiedział Monteskusz — drobne podarunki podtrzymują przyjaźń między ludźmi.

☆

Erazm z Rotterdamu prosząc o audiencję króla francuskiego, wysłał zagadkową wizytówkę: „Waszą Wysokość prosi o audiencję cudzoziemiec, pochodzący z kraju, który jest niższy niż woda, a którego mieszkańcy palą swoją własną matkę”.

Podczas rozmowy z królem, Erazm z Rotterdamu wyjaśnił znaczenie słów:

— Holandia byłaby dawno przez morze pochłonięta, gdyby nie strzegły jej wały nadbrzeżne. Jest to więc kraj niższy od wody. Mieszkańcy zaś Holandii spalają torf, wykopywany z ziemi — a ziemia jest matką nas wszystkich.

Uprzejmie wyjaśniamy, że następujące książki są już wyczerpane: „Ziarna Boże”, „Zarys dziejów papieżstwa”, „Przez Maryję do Jezusa”, „Na drodze do zjednoczenia chrześcijaństwa”.

Fr. Oszmiański U ŹRÓDEŁ LUDZKICH TRAGEDII

Ilekcio odwiedzam gmach Temidy, odżywiają w pamięci postaci oskarżonych, pozorujących przed Sądem skruczę lub załamanych psychicznie, zamkniętych w sobie lub wylewnych, złych, mściwych lub przygnębionych i biernie zdających się na łaskę losu. Za cenę ufności w samych siebie — trwają byle wyzwolić myśli z pęta winy i grzechu. — Wysoki Sądzie, byłam w potwornej sytuacji. Zabiłam noworodka, bo nie mogłam z nim wrócić do męża. Oczy oskarżonej o dzieciobójstwo Marianny W. nabrzmiewają łzami. — Ja naprawdę, nie chciałam... — płacze. Trudno jest dopowiedzieć prawdę do końca, że złamała przysięgę na wierność małżeńską, a dziecko z nieprawego łoża grodziło jej drogę powrotu do męża, który był gotów przebaczyć.

Zgładziła więc je. Ale ze zbrodni nie można wykręcać miłości. Za zbrodnię trzeba odpowiadać.

Sąd Wojewódzki w Warszawie wymierzył Mariannie W. karę siedmiu lat więzienia.

Jakże nieraz małostkowi i egoistyczni są ludzie? Jak często ich moralność opiera się na kruchej podstawie pieniądza?

Ryszard K. zazdrościł szwagrowi Janowi S., że przyszedł na ich gospodarstwo i dorabia się majątku. Sprzeczka wybuchła o byle co, o drób, kawałek plotu, najmniejszą piędź ziemi.

Głośno o tym było w całej wsi Łatowicz, w pow. Mińsk Mazowiecki.

Jednego razu Ryszard K. w stanie nietrzeźwym rzucił się z widłami na szwagra. Doszło do bójki, w której zginął Ryszard K. Sąd Wojewódzki w Warszawie przyjmując, że Jan S. działał w obronie własnej skazał go na trzy lata więzienia. Raz po raz dają znać o sobie chojraństwo i źle pojęty honor.

Roman K. — skazany na 15 lat więzienia — uderzył nożem w szyję Ryszarda D. ponieważ będąc młodszy wiekiem odezwał się doń po imieniu; wyżywanie się w chuligańskich ekscesach (Benedykt K. razem z kolegami podczas zabawy w Ludwinowie pow. Mińsk Mazowiecki bili czym popadło jej uczestników. Jeden z nich zmarł. Skazani na długoletnie więzienie); zaspokojenie egoistycznych zachcianek kosztem innych. (Roman O., księgowy Spółdzielni Mieszkaniczej „Jedność” w Żyrardowie przywłaszczył 180 tys. zł., które wydawał na grę w toto-lotka i na torze wyścigowym). Wyrok — 10 lat więzienia).

Brak hamulców moralnych i etycznych, nihilizm drążący duszę, uległość przed własnymi słabościami, cyniczne zubożenie na losy innych — oto prążyć ludzkich tragedii. Nie powinniśmy przechodzić obok nich obojętnie.

20 LAT SŁUŻBY ZDROWIA

W czasie wojny zginęło 7,5 tys. lekarzy. Zniszczeniu uległy 352 szpitale, 100 sanatoriów i zakładów leczniczych. 718 ośrodków zdrowia i ambulatoriów.

Taki był bilans wojennych strat. Dziś w dwadzieścia lat po wojnie, sytuacja wygląda inaczej, mimo, że jeszcze nieraz sarkamy na kolejki do lekarza, czy w aptece. Pomoc lekarska udostępniona jest najszerszym warstwom społeczeństwa. Szpitale, sanatoria, uzdrowiska, domy wczasowe, pomoc zamknięta i otwarta, nowoczesne środki i aparatura diagnostyczna, to olbrzymie osiągnięcia minionego okresu.

Jednocześnie wraz z rozwojem zakładów służby zdrowia, wzrosła liczba fachowego personelu. Porównując z okresem przedwojennym wygląda to następująco:

	1938 r.	1946 r.	1963 r.
Lekarze w tys. na 10.000 ludności	12,5	7,7	35,2
Dentyści w tys. na 10.000 ludności	3,7	1,6	10,6
	1,1	0,7	3,4

Liczba lekarzy w r. 1963 przypadająca na 10 tys. ludności była trzykrotnie wyższa niż w 1938 r. a pielęgniarzek 11-krotnie. O stałym wzroście personelu lekarskiego świadczy wzrost udziału lekarzy posiadających uprawnienia specjalistyczne. W ogólnej liczbie lekarzy medycyny (w 1955 r. udział ten wynosił 44,5%, a w 1963 r. — 60%). Aby zaspokoić zapotrzebowanie na lekarzy powołano do życia 10 akademii medycznych. Przed wojną natomiast było tylko 5 wydziałów uniwersyteckich. Liczba łóżek w szpitalach ogólnych wzrosła w stosunku do roku 1946 o 41%, w przeliczeniu na 10 tys. ludności wynosiła w r. 1963 — 47,7 zaś liczba łóżek w zakładach psychiatrycznych, wynosząca w 1963 r. — 11,2 na 10 tys. ludności wzrosła w stosunku do r. 1946 o 173%. Liczba łóżek w zakładach przeciwgruźliczych w przeliczeniu na 10 tys. ludności wzrosła w tym okresie o 136% i wynosiła w 1963 r. — 10,4. Uzupełnieniem lecznictwa szpitalnego jest lecznictwo sanatoryjno-uzdrowiskowe, które w r. 1963 dysponowało 16,3 tys. łóżek.

Doniosłą rolę w trosce o zdrowie człowieka odgrywają zakłady leczniczo-zapobiegawcze pomocy otwartej. W latach 1956 — 1963 liczba przychodni wzrosła o 856 a ośrodków zdrowia — o 846. Przy zakładach pracy liczba przychodni wzrosła o 716, na wsi otwarto nowych ośrodków zdrowia — 725. Uzupełnieniem działalności przychodni w miastach, są spółdzielcze przychodnie lekarskie i lekarsko-dentystyczne, których liczba w 1963 r. wynosiła 242, zaś uzupełnieniem sieci ośrodków zdrowia na wsi są spółdzielcze ośrodki zdrowia, których liczba w r. 1963 wynosiła 169. Poniższa tabela ilustruje rozwój tych zakładów.

	1955	1957	1959	1961	1963
Przychodnie	3486	3679	3873	4203	4442
w tym przy zakładach pracy	1619	1905	2102	2332	2335
Ośrodki zdrowia	1134	1401	1671	1790	1980
w tym na wsi	821	1033	1316	1410	1546

PAMIĘTNIK

Przez moment Irena doznała dziwnego uczucia ale zaraz pewność wstąpiła w nią z nową siłą. Trudno — musi się wreszcie rozmówić. Tak dalek być nie może. Weszła na szerokie stopnie laboratorium. Po tym wszystkim zresztą, co już miała za sobą, to była tylko formalność. Czcza formalność. Nic już nie odmieni biegu wydarzeń. Adam dawno to zrozumiał — wmawiała w siebie nie wiadomo który raz jakby chciała zagłuszyć szarpające jej duszę nieznośne unisono oskarżenia.

Szła pewnie długim korytarzem. Nic się tu nie zmieniło od czasu jej ostatniej bytności. Zygmunt będzie się tam niepotrzebnie denerwował. Postara się załatwić to jak najprędzej. Skręciła w boczną korytarz. Grupa młodych asystentów minęła ją w żarliwej dyskusji która momentalnie urwała się. Wyczuła za sobą ciekawe spojrzenia. Teraz głowy tych młodych naukowców pochylają się: to jest żona profesora Zięby. A wiecie, że ona mu przyprowadziła rogi...

Trzeba to było jednak załatwić u niego w domu. „U niego“ — jak to się dziwnie słyszy. Obco, zimno. A przecież niedawno jeszcze musiałyby powiedzieć „u nas“.

Przed białą lakierowanymi drzwiami przystanąła. Ta sama, lecz bardziej poślizgnięta wizytówka i ten sam wyblakły napis: „wejście przez sekretariat“. Ach, żeby to już było po wszystkim. Sekretarka spojrzęła na nią zmieszana. I ta już wie. No cóż, nie można się dziwić. Tajemniczy z tego nie robili. — O, proszę pani, pan profesor wyjechał do miasta. Będzie o godzinie 11.

Spojrzała na zegarek. Cóż, poczeka. Byłe nie tutaj, gdzie wszyscy przychodzą. Tamta jakby odgadła jej myśl. Adam zawsze twierdził, że jak na sekretarkę, to osoba wyjątkowo inteligentna

... — może pani poczeka w gabinecie męża? Drgnęła. Czyżby celowo zaakcentowała wyraz? Nie, to tylko przewrażliwienie. Odważym się błędem uśmiechem przechodząc do gabinetu. Sekretarka zamknęła za nią cichutko drzwi. Dyskretna. Albo po prostu nie chce by była świadkiem jej wiadomości, które za chwilę rozpowie telefonicznie: przyjechała żona profesora Zięby...

W gabinecie nic się nie zmieniło. Te same obrazy. Przybił tylko jeden dyplom. „Za długoletnią i ofiarną pracę naukową nad...“. No, oczywiście Adam to był wzór naukowca. Pracowity, ambitny. Ciekawe czy stale jeszcze tkwi nad amebami?

Usiadła wygodnie w fotelu na wprost drzwi. Pewnie się zdziwi, gdy ją tu ujrzy. Chyba że go uprzedzą. Chociaż, czy on w ogóle czemuś się dziwił? Nawet wówczas, nawet wówczas kiedy mu powiedziała o sobie i Zygmuncie. Tak, to było dla niej straszne. A on tylko się uśmiechnął tak dziwnie, smutno. — No cóż kochanie nie mam prawa ciebie zmuszać do siebie. Miłość...

Głos mu się wtedy załamał. To było wszystko co powiedział. A nazajutrz szedł jak zwykle do laboratorium zrównoważony, opanowany jakby nic nie zaszło między nimi. A przecież wiedziała, że strasznie go to podcięło.

Podeszła do okna. Była tylko jak najprędzej to załatwić. Żeby nie dzieci. wcale by tu nie przyszła. To była jednak wielka ofiara zgodzić się na oddanie mu Alinki. Ale Adam tak bardzo ją kocha. Pozostanie tylko przy Romeczku. On jeszcze taki maleńki. Potrzebuje jej ciepła. Przytknęła rozpalone czoło do zimnej szyby.

Zygmunt... Imię, które wtargnęło w jej życie całym ciężarem następstw, a jednak owiane aureolą jasności. To było silniejsze od niej. I nagle cały gmach rodzinnej szczęścia misternie budowany przez kilka lat runął w gruzy.

To już pół roku, 6 miesięcy jak... odeszła. — Iro, zastanów się kochanie, — to były jego ostatnie słowa kiedy złamany odprowadził ją do drzwi.

Czy też przez te 6 miesięcy zmienił się? Kie-

dy zestawiała smutną, przygnębiłą twarz Adama z wesołą, pełną młodzieńczego temperamentu sylwetką Zygmunta — nie mogła nie widzieć różnicy. Teraz tamten czeka na nią w cukierni. Pewnie się denerwuje. Gdybyś za długo u niego siedziała, to zatelefonuję...

Nie. postara się załatwić szybko. Niech tylko Adam zgodzi się na to aby Romeczek został przy niej. Romeczka nie odda za nic w świecie. Dostanie Alinkę. To będzie naprawdę straszne rozstanie.

Wróciła ciężkim krokiem do fotelu. Gdzież ten Adam się podziewa? Mimo woli wzrok zatrzymał się na blyszczące, polerowanej bibliotece. Zza którejś książki sterczała znajoma, kolorowa zakładka. Ich wspólny pamiętnik — stwierdziła nie bez wzruszenia. Wysunęła ostrożnie oprawny w grubą skórę tom. To był prezent od Adama w drugą rocznicę ślubu. Kiedy przerzuciła pierwszą kartę jakieś szczególne uczucie opanowało całą jej osobowość.

„Mojej najdroższej Irenie — na pamiątkę wszystkich radosnych dni w naszym życiu. Adam“.

...„Na pamiątkę wszystkich radosnych dni“ — jak pusto brzmią teraz te słowa. Jakby ktoś odarł kwiat z płatków. Jakież wywołują wizje. Przerzuciła następną kartkę i nagle drgnęła. Z fotografii spojrzęły na nią dwie jakże dziś obce sobie postacie. Ona i Adam. Władysławowo k. Pucka. Ślub w cichym wiejskim kościółku. Adam tak unikał rozgłosu. Jakże dziwnie kontrastuje ten szeroki, szczęśliwy uśmiech na jego twarzy z późniejszym przygnębieniem. Zastanowiła się. Właściwie to Adam zawsze był taki wesoły, pełen humoru. Dopiero wtedy, kiedy na widowni ukazał się Zygmunt — Adam stał się mało mówny, smutny. Aż do tragicznej rozmówki. Odwróciła kartę, aby jak najprędzej uciec od bolesnego wspomnienia, ale dalsze zdjęcie poraziło ją zupełnie. Alinka. „Nasza pierwsza gwiazdeczka“ — to przecież ona skreśliła to zdanie pod fotografią. Fala błędnego ciepła zalała jej duszę.

...3.6.1953. Byliśmy u Matuszewskich. Ala jest rozkoszną dziewczynką. Matuszewscy wspominali o ostatnim wypadku Helenki. Po prostu nie mogą sobie wyobrazić gdyby coś podobnego miało spotkać naszą Alinkę. Jutro Adam ma ciężki dzień. Przyjeżdżają ci z komisji...“

Przerzuciła kilka kart. Znowu fotografia. Tym razem Romek a pod nią dalszy ciąg pamiętnika.

„Romek jest naszą miłością i dumą Adama.“ A potem pod datą 4.7.56. „Adam czwartą noc nie śpi. Romek stale gorączkuje. Czuwamy na zmianę, aż dziw jak Adam go kocha...“

Coś ścisnęło jej gardło. Jak dobrze pamięta te straszne dni. Ile wtedy z Adamem nabiegali się, to przecież on zastawił swego Scheffhausena aby zdobyć to zagraniczne lekarstwo. Wtedy tak bardzo byli bliscy sobie. To przez chorobę Romeczka.

Przerzuciła znów kilka kart. Były puste. Ach prawda, przecież tutaj urwało się ich życie. „Wszystkie radosne dni“. Dokładnie 6.1.1957 r.

.....Jutro wyjeżdżam na kurs. Adam życzy mi pomyślnego egzaminu. Dwa tygodnie rozłąki...“

Teraz pojawia się sylwetka Zygmunta. To on przecież był prymusem na kursie. Kartki pamiętnika pała jej dłoni.

I nagle, nagle nie wiadomo który raz zadaje sobie pytanie: miłość? Czy to uczucie egzaltowane, gwałtowne, to miłość?

Sylwetka Zygmunta na tle pamiętnika blednie, rozplywa się. Aż dziw jak nagle czuje pustkę. Uczucie człowieka zawiedzionego w próżni. Boże...

☆

Za drzwiami rozległ się głuchy odgłos kroków. Prędko odłożyła pamiętnik aby w następnej chwili ujrzyć zdziwioną twarz Adama.

— Ira... — pełen nadziei głos rozdarł ciszę gabinetu. Starała się panować nad sobą ale natrętne Izy nie czekały na zaproszenie. Już trzymał ją w objęciach.

— Adam — wyszłała — zapomnij o wszystkim. O wszystkim...

To było wszystko co zdołała powiedzieć. Nie słyszeli nawet energicznego terkotu telefonu, który wreszcie zamilkł.

STOSUNKI GOSPODARCZE
POLSKA — RUMUNIA

W Bukareszcie obradowała IV sesja polsko-rumuńskiej komisji współpracy gospodarczej. Delegacji polskiej przewodniczył wicepremier Z. Nowak, zaś rumuńskiej — wicepremier A. Birladeanu. W toku obrad rozpatrywane były takie sprawy jak: wykonanie postanowień III sesji, wyniki współpracy naukowo-technicznej w ubiegłym okresie oraz możliwości dalszej współpracy w różnych gałęziach przemysłu.

W ciągu ubiegłego okresu od III sesji znacznie rozszerzyły się stosunki gospodarcze pomiędzy obu zaprzyjaźnionymi krajami. Dotyczy to w szczególności takich dziedzin jak przemysł maszynowy, chemiczny oraz hutnictwo. Umocniły się wzajemne kontakty handlowe i w latach 1961—1964 nastąpił rozwój wymiany towarowej w stosunku do założeń umowy wieloletniej.

Średnio roczne tempo wzrostu obrotów wyniosło w ostatnich 4 latach 12 proc. wobec założonego umową wieloletnią około 7 proc. W ub. r. obroty pomiędzy obu naszymi krajami wyniosły 276 mln zł dewizowych. Wymianę tę charakteryzuje znaczny wzrost udziału maszyn i urządzeń we wzajemnych obrotach. Udział maszyn np. w obrotach z Rumunią wzrósł z 30 proc. w 1961 r. do około 40 proc. w 1964 r. Pomyślnie rozwija się pomiędzy Polską i Rumunią współpraca naukowa i techniczna rozpoczęta w roku 1961. W ciągu tylko ubiegłych 4 lat kraj nasz otrzymał około 60 kompletów dokumentacji technicznej.

Ze swej strony przemysł polski przekazał Rumuńskiej Republice Ludowej około 100 kompletów dokumentacji. Poza tym wymieniono między przemysłami obydwu krajów dziesiątki specjalistów.

Wzajemne kontakty gospodarcze, a w szczególności praca grup roboczych, przyczyniły się w ubiegłym okresie do lepszego poznania wzajemnych potrzeb i możliwości dalszej współpracy gospodarczej między obu krajami. Pomimo wymienionych osiągnięć można było pełniej wykorzystać wszystkie istniejące możliwości współpracy.

Dotychczasowe kontakty gospodarcze przyczyniły się w istotny sposób do osiągnięcia pomyślnych ustaleń w czasie konsultacji komisji planowania, które odbyły się w 1964 r. Wystarczy wskazać, że obroty towarowe w roku 1970 wzrosną w stosunku do 1964 r. o około 94 proc.

Uchwały IV sesji komisji niewątpliwie przyczynią się do zaktywizowania współpracy gospodarczej między obu naszymi zaprzyjaźnionymi krajami.

(Ch)

ŚLEDZTWO

1 września 1939 roku świat dowiedział się o napaści hitlerowskich Niemiec na Polskę. Kraj nasz pogrążył się w morzu krwi mordowanych, w dymach krematoriów, w ruiny i zgłiszczą. Młode pokolenia wojnę znają tylko z historii i oby znały ją tylko z tej strony. Tego by pragnęli ludzie, którym sądzone było przeżywać dni grozy i śmierci. Dziś w dwadzieścia lat od kapitulacji niemieckiego faszystwu, kiedy neohitlerowcy marzą o nowej wojnie światowej, kiedy wyciągają zawsze drapieżną dłoń po broń nuklearną, narody słowiańskie tym bardziej muszą być czujne. W miesiącu wrześniu, smutne to, ale konieczne wrócić musimy do tych lat tragicznych i temu poświęcamy niniejszy artykuł, oparty na wydarzeniach prawdziwych.

REDAKCJA

Was? — wrzasnął leutnant Gruntenberg, komendant posterunku żandarmerii w Żyrardowie. Przed nim na baczność stał st. wachmistrz Hottinger.

Gruntenberg zerwał się z biurka. Każę was rozstrzelać jak wściekłe psy, razem z nimi! — ryczał, cały pasowy z gniewu. Jak pilnujecie — żeby nam pod nosem rozwalali pociągi — te polskie świnię! Dawajcie stróży! Pojedynczo!

Hottinger wyciągnął łapę w górę — Jawohl! Herr Leutnant. Trzasnął obcasami brązowych butów, jak nakręcony pajac, zrobił w tył zwrot i wyszedł.

Gruntenberg chwycił słuchawkę telefonu i nakręcił numer. — Braun? — Przyjdź do mnie i weź ze sobą Langego. Rzucił słuchawkę na widełki, aż rozległ się głośny metaliczny dźwięk.

Hottinger biegł szybko po schodach. Bał się sam o swoją głowę. Szef był młodym, despotycznym dowódcą. Świecie wierzył w zwycięstwo i mądrość Hitlera, za którego gotów był skoczyć w ogień. Polaków nie znosił tak samo, jak Żydów, traktując ich jak ordynarną, ciemną masę roboczą.

To było — tylko pracować winno na równi z wołami, i powinno być szczęśliwe, że Niemcy im dają żyć — mówił zawsze o Polakach.

St. wachmistrz Hottinger minął wartownię i wyszedł na podwórze z tyłu domu, gdzie znajdowały się komórki zamienione na areszty. Przez małe zakratowane okienka widać było przyklejone do siebie głowy zatrzymanych. Przed aresztem jakby defiladowym krokiem spacerował wartownik. Przy nim krok w krok czołpał wielki wilczur. Z tyłu za budynkiem chodził drugi wartownik, uzbrojony w karabin maszynowy.

— W porządku? — spytał wartownika Hottinger. Jawohl! Z wyjątkiem jednego, który pociął sobie żyły wybitym szkłem z okna.

Niech zdycha! I tak ich za dużo...

Wartownik przekręcił klucz, otworzył drzwi. W twarz buchnął mu smród moczu, kału, potu. Obaj Niemcy cofnęli się wykrzywiając ze wstrętem twarze. W małym pomieszczeniu, gdzie dawniej był węgiel i drzewo, stało kilku mężczyzn. Było ich sześć. Zarośnięci, brudni, w podartych ubraniach. Dłońmi przytrzymywali opadające spodnie pozbawione paszków. Bosymi nogami deptali własny kał, tworzący grząską maź, wypływającą szparą pod drzwiami na zewnątrz. Sypialnia, jadalnia, ubikacja — wszystko było na miejscu.

Wystraszone oczy patrzyły na szwabów Hottinger uśmiechnął się z sadystycznym grymasem.

Komm! — kiwnął palcem na jednego z nich. Więzień, starszy siwy chłop, wyszedł z celi. Innym ciche westchnienie ulgi wy-

rwało się z piersi. Jeszcze nie ja! — przebiegło przez umysły pozostałych.

Schnell! — wartownik kopnął człowieka. Bose stopy starego zostawiały mokre plamy na ziemi. Drzenie wstrząsało ramionami. Przyśpieszył kroku poganiany przez Hottingera. Weszli do sieni. Nowe kopnięcie odrzuciło go na ścianę. Ty parszywa świnię! — wrzeszczał szwab — patrz jak gnoisz schody. Na nich były lepkie plamy. Chłop przerażony patrzył na Niemca, schylił się chcąc wytrzeć rękawem kapoty brud. Pałka uderzyła go w tył głowy. Padł. Przez uchylone drzwi wartowni wyskoczył szary wilk. Ostre zęby wpiły się w gołą szyję człowieka. Oooo...! wrzasnął odpychając ręką zwierzę. Podnoś się! krzyczał Hottinger, kopiąc leżącego przy akompaniamencie warczenia rozwścieczonego psa.

Szwab odrzącił wilczura. Chłop wstał wycierając brudną dłońią spływającą krew. W lewo! — padł rozkaz i chłop skręcił w korytarz. Halt! Hottinger przeżył się już przed drzwiami zapukał.

Herein! — odezwał się Gruntenberg. Wachmistrz z więzieniem weszli do środka. Obok szefa stało dwóch żandarmów. Ich bezmyślne spojrzenia obrzuciły wchodzącego. Szef wyskoczył z biurka. Z konwulsyjnie skrzywioną twarzą, zaciskając pięści, zaczął krzyżeć. No i co! Mów! Kto rozkręcił szyny? Jak się ci bandyci nazywają!

Pytania padały szybko w łamanym polskim języku. Chłopina trząsał się nie mogąc wielu zrozumieć, a tym bardziej nadażyć z odpowiedzią. Nie wiem, nie widziałem... Zobaczyliśmy nadjeżdżający pociąg może kilometr za nami, i słyszeliśmy huk walących się wagonów...

Łesz... znasz ich, sprawcami byli ludzie z waszej okolicy! Braun podskoczył do więźnia, kolbą pistoletu rąbnął go w głowę. Raz, drugi — krew trysnęła, zalewając siwe włosy i pomarszczoną twarz. Chłop zachwiał się na nogach, opierając się o ścianę. Ręce puściły spodnie i przywarły do głowy. Drugi żandarm złapał wiadro wody i chlusnął nią w twarz nieszczęśnika. Mów — wrzeszczał Gruntenberg — jak się nazywają, gdzie mieszkają. Hottinger znał polski język — tłumaczył. Chłop zamilkł. Uparta, harda twarz spojrzała na Niemca. Wargi zacięły się w surowość — milczał. Braun podskoczył znowu. Rude wielkie chłopsko, o długich małych łapach biło chłopca żelaznym prętem. Więzień upadł. Chciał wstać, mdlejącymi rękami podparł się o podłogę, ale nowe uderzenie zważyło go ponownie. Teraz na plecy, nogi, pośladki rytmicznym ruchem spadał żelazny pręt. Chłop jęczał aż zamilkł a na plecach przez podarte ubranie wydobywały się krwawe plamy.

Wody! Wody! — wrzeszczał Gruntenberg, pieniać się ze złości. Wściekłość go ogarniała na widok krwi i braku zeznań mogących naprowadzić go na ślad sprawców wysadzenia toru. Lange — rumiany grubas o dobroduszej twarzy, znowu chwycił wiadro i chlusnął wodę. Człowiek nie drgnął nawet. Stracił przytomność. Dawaj drugiego! Zawołał szef. Braun i Hottinger wyciągnęli człowieka za nogi jak miękki worek na korytarz. Wachmistrz pobiegł po następnego.

Następny był młody chłopak, wyglądający na lat szesnaście może. Stał zaleknioty przy drzwiach miętosząc, starą z podartym daszkiem czapkę. Bose nogi o dużych odstających palcach, świadczyły o rzadkim noszeniu butów. Spodnie przykrótkie, odsłaniały podrapane łydki. Pod cienką, długą czarną marynarką — drżało nierozwinięte; jeszcze młode ciało. Niebieskie oczy chłopaka, przemykały się z jednego na drugiego żandarma. Czerwony rumieniec pokrył policzki, a usta drżały jakby za chwilę miały się skrzywić płaczem.

Gruntenberg rozsiadł się wygodnie na fotelu. Nogę założył na nogę, lekko przechylił do tyłu, wolno zaciągał się papierosem. Bładoniebieskie oczy wbił w twarz więźnia. Lange i Braun stali pod oknem. Jeden z uśmiechem, jakby pobłażania na dobroduszej twarzy, drugi z drapieżnym pożądlivym uśmiechem sadysty. Milczenie przerwał Gruntenberg.

Hottinger! Powiedz mu — zaczął po niemiecku — jeżeli powie prawdę, zostanie na-

tychmiast zwolniony — on i jego ojciec, jak nie... to powiedz mu... i wskazał kciukiem na korytarz. Hottinger przetłumaczył to szybko, i pociągnął chłopaka na drugi koniec korytarza, gdzie zbroczony krwią, leżał na pół przytomny starzec. Chłopak zatrząsał się i zbladł, patrząc na zbitego i złanego krwią ojca.

Tato! Tato! — zawołał, łapiąc się za głowę rękami. Ojciec uniósł głowę, ruszył ręką, nogą jakby chciał wstać. Jęknął i znowu znieruchomiał na podłodze.

Hottinger szarpnął chłopaka i wprowadził go do pokoju. Gruntenberg wstał. Obszedł biurko trzymając ręce w kieszeniach spodni. Zatrzymał się przy więźniu. Szkliste oczy, chciały wydobyć prawdę, tak potrzebna do awansu. Usta ściśnięte gniewnie, tłumili zgrzyt zębów.

Czy znasz tych — co rozkręcili szyny? — zapytał, przybliżając się Hottinger. Z psim postuszeństwem odgadywał myśli swego szefa.

— Mów! Póki masz szanse. Znasz?

Nie — nie znam! Chłopak potrząsnął głową. To było hasło, by zacząć bicie.

Pierwszy uderzył Gruntenberg, potem Hottinger, a Lange i Braun, jak rozjuszone kundły dopadli ofiary, pięściami przetrzucając ją do siebie. Więzień upadł. Wybite zęby i poranione usta, usta które jeszcze nie potrafiły klamać, spływały krwią. Wielka sina plama wyskoczyła pod okiem.

Rozbierać go! — wrzeszczał szef, pijany już krwią. Oprawcy zdarli ubranie z chłopaka. Ręce wykręcili do tyłu, krępując drutem. Uderzeniem buta zwałając go z nog. Tym samym drutem wiążąc mu nogi. Za chwilę rozciągnięty przez ręce i nogi kij, podniesiono w górę. Ciało zawisa w bolesnym szarpnięciu w powietrzu.

Feuer! Feuer! — wołał Gruntenberg. Zapalają karbidową lampę. Ogień pali ciało. Nieludzki krzyk wydobywa się z ust. Lange i Braun dźwigają na ramionach kij. Złani potem, poruszają się w takt konwulsyjnego szarpnięcia się więźnia. Smród palonego ciała, napełnia pokój. Krzyk zamienia się w cichy monotony jęk. Ciało wyprężyło się i zastężyło.

Krew gęstymi, ciężkimi kropelkami z porozbijanej twarzy kapała na ziemię. Pulsowanie tętnicy na szyi zdradzało tylko, że chłopak żyje.

Zabrać go! Zabrać — pieniał się szef. I tym razem nic się nie dowiedział.

Zbici, na pół przytomni, ojciec i syn znaleźli się ponownie w celi. Nastąpiła już noc. Przez okienko zakratowane pod sufitem, wdzierał się chłodny powiew nocy. Kilka gwiazd mrugało, jakby radośnie do chłopaka. Zgorączkowane ciało, i umysł wróżyło w nich dobry omen. Radość, że oni nic nie wiedzą, dawała zaspokojenie skatowanemu ciału.

Co ja mogłem powiedzieć, jak ja nic nie wiem! — odezwał się młodszy, a stary uśmiechnął się z podziwem i podzięką.

Jak się wyjaśni, synu pójdziemy do domu — na pewno nas puszcza! — odezwał się ojciec. Ojciec i syn, pocieszeni się nawzajem. Jednemu tylko sądzone było żyć i zobaczyć dom, ale tego mimo, że pragnęli bardzo obaj, nie mogli odgadnąć.

Nazajutrz, drzwi się otworzyły i znowu stanął w nich Hottinger. Chodźcie! — wrzasnął na ojca i syna. Na podwórzu stało kilku żandarmów.

Teraz już koniec! — pomyślał syn. Tak samo pomyślał ojciec. Obaj tego nie powiedzieli głośno. Oczy ich spotkały się z sobą i chciały powiedzieć: żegnaj ojciec! Żegnaj synu! Żandarmi otoczyli ich wkoło. Na smyczy rwał się, szczyrzył kły, szary wilk.

Marsz! Luźną karabinu jeden z żandarmów trącił ojca. Trzech wzięło go między siebie, drugich trzech otoczyło syna. Tu ulica prawie była pusta. Ludzie bali się chodzić tędy. Naprzeciwko żandarmerii była Feldgendarmerie, w sąsiednim domu była granatowa policja polska, w kilku innych domach byli niemieccy żołnierze.

Przed domami stali wartownicy. Nic dziwnego więc, że każdy omijał tę część ulicy.

Smutny konwój szedł w stronę, gdzie kończyły się domki wśród niskich drzew owocowych, a zaczynał się las, częściowo

już na brzegach wycięty przez Niemców. Małe piaszczyste pagórki, z wystającymi smutnie pniakami okupant wykorzystywał na miejsce straceń. W sypkim żółtym piasku, tak szybko kopało się groby...

Znaleźli się już na pagórkach. Jeszcze raz ojciec i syn spotkali się wzrokiem. Tu na pustkowiu nawet uciekać nie było gdzie. Trójka żandarmów z ojcem poszła w bok, syn z drugą trójką poszedł w inną stronę. Obie grupy znikły za pagórkami wzajemnie się nie widząc.

Więzień z rękoma do tyłu i spuszczoną głową szedł naprzód. Nogi przyjemnie deptały, ciepły miękki piasek. Wyssoko w górze śpiewał skowronek. I gdyby nie słodki smak krwi, lepkiej napełniającej usta i ból spalonych pleców, zdawałoby się, że tak sobie wędruje po polu. Lufa pistoletu dotknęła obolałych pleców. Schnell! Schnell! Mimo woli spojrzął do tyłu, przyspieszając kroku. Wytrzeszczone ślepią żandarma i skrzywiona twarz, z rzadkimi żółtymi zębami wystającymi z ryżych wąsów utkwiała w pamięci. Łapa żandarma, pogardliwie, ot tak niby od niechcenia uderzyła go w tył głowy. Ale ile w tym geście było wyrafinowanego okrucieństwa, pogardy, pychy! To lekkie niby uderzenie, trafiło w wczorajszą ranę. Chłopak skrzywił się z bólu i począł truchtem biec, tak, na ile pozwalało mu zbite, bolące ciało. Za sobą usłyszał trzask repetowanych karabinów.

Halt! — padł rozkaz. Stał — twarzą zwracając się do katów. Teraz już koniec. Przebiegło przez głowę.

Niebieskie niebo, z szarym punkcikiem skowronka śmiało się do niego pełnią lata. Syyynu! Synku! Kaazik!! — wołanie matki, rozległo się od domu. Oho! Już łaciata w szkodzie. Ojciec będzie się gniewał... A może przyjechał starszy brat na urlop z wojska... Jak przyjemnie jest leżeć, w gęstym pachnącym, szumiącym jak morze — zbożu. Te chabry takie cudne. O! i ta liszka, najezona włosom czarno-zielonym, jaka mała wśród konarów żyta...

Powiesz czy nie! Drgnął — jak wyrwany ze snu... To cię może jeszcze uratować! Należysz do bandy i kto z tobą... Szybko! Nie będziemy się z tobą dłużej bawić... Ryczał Hottinger — purpurowy od ściskającego mu szyję jak u indyka — koinierza.

Chłopak spojrzął na szwaba. Brązowy otok u czapki, przypominał mu brunatną polną mysz. Wstrętna — kiedyś zabił ją kijem — jak pasł krowy na łące swego ojca.

No! Zatkano cię! Parszywa polska świnię! Czuję jak krew uderzyła mu do twarzy. W ustach znowu poczuł jej słodki smak. Oczy utkwili w czerwonej twarzy Niemca. Sam na trzech. Trzy czarne otwory patrzyły na niego. Tymi dziurkami... ale to wszystko tak szybko potrwa...

Marsz! Szybko! Teraz zaczął biec przed siebie prędko. Aby prędeż... Czuję, że serce bije coraz głośniej... Zbite nogi unosiły się jak ołowiane kule. Ręce bezwładnie wisały na bokach. W głowie jak rozhuśtane dzwony uderzała krew. Cisz! Co nie strzelają! Co to jest! Czyżby jeszcze za mało przebiegł, a może już ich nie widać — może... „Och! to niemożliwe” — udało mu się zbiec... Czyżby już go naprawdę puścili... Serce radośnie podskoczyło do gardła. Prędeż... byle dalej od nich... Halt! Halt! rozległ się wrzask. Stał. Obejrzał się do tyłu. W odległości może dwudziestu metrów stali żandarmi. Tak niewiele przebiegłem? Zachwiał się. Nie mam już sił... Kończcie... Kończcie... chciał krzyknąć, ale głos uwiązł w gardle.

Komm! Zurück! A więc jedna metoda więcej. Chcieli zastraszyć. Nie udało się wam — oprawcy. Co z ojcem? Przypomniał sobie. Czyż go jeszcze zobaczę? Powoli wracali do miasta. A więc tym razem się udało. Mimo bólu i wyczerpania, radosna дума go napełniła i otucha rozjaśniła umysł. Wchodzili już w uliczkę, gdy z prawej strony z zakrętu zjawił się ojciec ze swą trójką opiekunów. Zatrzymali się na rogu, czekając na zbliżającą się grupkę. Ojciec i syn uśmiechnęli się do siebie. Szli na żandarmerię mijając ludzi, z trwogą im się

przyglądających. Każdy z tych co ich mijali mógł być za chwilę w tym położeniu. Przecież byli Polakami. Tym, których hitleryzm skazał na śmierć, czy niewolniczą pracę. Żandarmi głośno szwargocząc szli za nimi.

No i co synu? — wyszeptał ojciec.

Nic, tato! Nie dowiedzą się. Ojciec spojrział na syna, ciepłym serdecznym spojrzeniem. Tato — jak nas nie zwolnią — uciekam.

Jak chcesz — ja już stary — ty młody — mnie już wszystko jedno.

Doszli do budynku żandarmerii. Minęli wartownika, który obrzucił ich obojętnym, prawie niewidocznym spojrzeniem. Brama zamknęła się za nimi. W areszcie strażnik otwierał już cele. Kazik spojrział ukradkiem w okno, tam gdzie siedział największy oprawca i kat. Nie widać go było. Za to głos wybiegał na podwórze. Znowu ten sam — wściekły i donośny. Odpowiadał mu głośny krzyk kobiety.

Weszli do celi. Nogi znów zanurzyły się w grzaskie, zimne błoto — tak kontrastowo nieprzyjemne od ciepłych płyt ulicznego chodnika. W sąsiedniej celi słychać było rżenie konającego.

W areszcie, jak w młynie przewijali się coraz nowi ludzie. Jedni bawili tu krótko, zieloną „budą” odwiezieni do pobliskich lasów na stracenie, inni mieli jeszcze dostarczyć wiadomości, w czasie wyrafinowanych tortur i oni trzymani byli dłużej. Obaj Leśniewscy, w parę dni doczekali się zwolnienia.

Był koniec maja 1943 r. Pancerne zagony Hitlera, łamały swe zęby o mury Stalingradu. Niejeden transport wroga, idący na pomoc walczącym armiom na wschodzie, znajdował swój smutny koniec na szlakach biegnących przez polskie lasy i wioski. Przez Franciszków, rodzinną wioskę Leśniewskich przebiegały tory kolejowe, po których szły transporty wojskowe. 11 maja w noc poprzedzającą aresztowanie, spada z torów ekspres Berlin-Warszawa z niemieckimi oficerami.

Po pierwszym i drugim uszkodzeniu torów przez oddziały GL z Żyrardowa w wyniku czego wróg poniósł straty w zabitych, rannych oficerach i żołnierzach. Niemcy nie stosują bezpośrednio represji, ale próbują za to przez miejscowych volksdeutschów, zdekonspirować podziemie.

Franciszków — ostatnia wioska województwa warszawskiego, granicząca z łódzkim, miała dzięki właśnie takiemu lotrowi z „listy 3 kategorii niemieckiego narodu”, swój krwawy lipiec, który pochłonął kilkanaście istnień ludzkich.

Maj i czerwiec — to na wsi przednowek. Kończą się zapasy mąki i zeszłorocznego żyta. stoją smutne wiatraki na polach, nie warczą nowoczesne młyny. W polu dalej od torów, stał wiatrak z wielkimi skrzydłami, widoczny już z daleka.

Kranych! — mówili sąsiedzi — Temu się powodzi! Młynarz! Niemiec! Że takiego s...-syna nie spotka kara Boża! Kranych osiedli z dawną, już od początku wojny, zaczął pokazywać swoje rogi. Z żandarmami z Żyrardowa, za pan brat. Ufnę w swoją niemiecką potęgę. Ale dopiero swoje „sympatie” do Polaków, miał pokazać właśnie, w lipcu 1943 r.

Słońce już zachodziło, gdy do wiatraka zbliżał się zaczęli czterej żandarmi, na koniach. Jechali gęsiego, wzbijając kurz na polnej piaszczystej drodze. Tu i ówdzie zza płotu czy też krzewów okalających wiejskie opłotki wyjrzała za nimi niewieścia głowa, lub pies zawarczał głośno, zbesztany zaraz przez swego pana. Cztery szare mundury, i konie potrzęsające munsztukami, budziły nienawiść i strach. Zawsze coś groźnego z sobą przywozili. Tego pobili, tamtego zabrali na roboty do Niemiec.

Przy wiatraku po drugiej stronie drogi, stała chałupa Kranych. Dom jak wszystkie, drewniany z środkowym wejściem, małą sienią i dwóch izbach po bokach. Obok nie-

go stodoła, obora i podwórko otoczone niskimi sztachetkami. Biedne chłopskie obejście, tym się różniące od innych, że gospodarz był właścicielem wiatraku.

Dojrzał Kranych widać żandarmów, bo wyszedł przed chatę na drogę, trzymając już z dala czapkę w rękę, i chyląc się w pokłon przed panami. Czapką pomiałał prawie ścieżkę, tak zgięty stał i pokorny. Ciemne, głupie Niemczyko. Żandarmi podjechali kłusem, wstrzymując konie uzdami. Kranych podbiegł do pierwszego, podtrzymując strzemiono. Guten Abend! Guten Abend! mamrotał każdemu kiwając głową. Pierwszy zeskoczył żandarm zwany „Wąchala” z powodu dużych wypłowiałych wąsów. Drań nad cranie.

Postrach wszystkich szmuglerów, na których często urządał łapanki. Z postawy widać było, że i tu dowodził pozostałymi. Proszę do środka! — zapraszał gospodarz, a od proga i jego żona. Gdzie syn? — spytał „Wąchala”. Kiedy przyjeżdża na urlop? — Niedługo niedługo — ma być w lipcu albo w sierpniu.

Żandarmi rozsiedli się wygodnie na łąkach, a konie przed domem skubały trawę.

Jeszcze nikt w wiosce nie domyślał się, że Karol Kranych, do niedawna ich sąsiad, karmiony polskim chlebem szykował zbrodnię, wespół z żyrdowskimi żandarmami. Plan pewnie powstał w czasie którejś z libacji, suto zaprawionych wódką. Oj, lubili ci „nadludzie”, polską gorzałeczkę, smaczne pieczone gąski tak beztroško chodzące po łąkach. Kto im mógł zabronić, zabić jedną lub dwie, a nawet więcej, jak czasu starczyło, a potem piec, pitrasić, zakrapiać wódeczką, tą monopolową i tą chłopską, pędzona w piwnicach, czy w lasach...

Kranych prosty chłop, ledwo stawiający koślawe litery zgrubiała od roboty ręką, poczuł zapach krwi. Odezwały się dzikie instynkty Niemca, pragnącego mordować, nie tylko dla zaspokojenia wizji führera, ale i z samej chęci mordowania i tych niskich, prostaczkowych ambicji. Ja im pokażę... i pokażę.

W łąpy żandarmów powędrowała lista podejrzanych o udział w ruchu oporu. Znał przecież Kranych wszystkich. Wszystkich w Franciszkowie oprócz swego brata, który mieszkał opodal mógł posądzić o przynależność do organizacji. Przecież wszyscy byli Polakami. I wcale by się nie omylił. Co drugi był członkiem ruchu oporu. Chociaż nawzajem nie musieli się znać.

Łączeni w trójki, na hasło mieli się tylko stawić w jednym szeregu. Ale Kranych nie był w to wtajemniczony. Robił listy ot tak na wycucie, kierując się własnymi sympatiami. Tych co lubił najbardziej — podał pierwszych, innych potem i kto wie czy by nie został „szlachcicem na zagrodzie”, gdyby Niemcy wycieli w pień mieszkańców wsi? A może i tego pragnął? Wszak Hitler powiedział, że Niemcy to naród panów, i w takiej roli mogą tylko występować na świecie. I on Kranych też pan. W nim płynie niemiecka krew. Krew „dzielnych” kolonistów, pionierów germańskiej rasy na wschodnich rubieżach Reichu. Jak niscy i dzicy są ci Słowianie wokół niego zamieszkujący? Może wzrok niemieckiego chłopca wytyczał granicę swego wiejskiego władztwa aż tam pod ciemną linią boru na wschodzie, i tam na zachodzie, koło Radziwiłowa, gdzie kończyła się jego „wieś”. Może na miejscu wiatraka — strasydła, widział warczący nowoczesny elektryczny młyn, mielący tony jego złotej pszenicy? Może, może... cóż tam mogło sobie myśleć niemieckie chłopisko... otumaniony przez sfanatyzowanego wodza i pijanych, rozbawionych żołdaków. Robił z premedytacją źle, mordował, wskazując palcem, patrząc na łązy, krew, cierpienie swoich ofiar. Nie wrzasyły go ani prośby o życie, ani jęki dobijanych ofiar, bitych i torturowanych, płacz sierot i matek. Nie, nic nie mogło go pohamować w krwiożerczych instynktach.

NAUKA = POSTĘP



Zagadnienie, w jaki sposób człowiek reaguje na warunki otoczenia, jest przedmiotem dociekań i badań lekarzy w dużych ośrodkach medycznych Europy i Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Sposób, w jaki dokonuje się badanie, przybrał bardzo pompatyczną nazwę — postępowej opieki nad pacjentem — według której to metody w szpitalu w Lankenau dąży się do zrealizowania zasady głoszącej, że tego rodzaju instytucje są nie tylko miejscem leczenia.

W ośrodku badań szpitala uczeni pogłębiają swą wiedzę o chorobie raka, pracy serca, płuc i zagadnieniach związanych ze starością, alkoholizmem i cukrzycą. Do najbardziej interesujących programów szpitala Lankenau należą studia nad stanami napięć, wynikających z warunków otoczenia. Czułe przyrządy do badania reakcji organizmu zapisują ciśnienie krwi, puls i pracę serca osób, które ochotniczo biorą udział w doświadczeniach.

Podczas takich eksperymentów bada się osobę obracającą pedałami (fot. 1), unieruchomionego roweru i zmiany w organizmie ludzi, którzy przez dziesięć dni przebywali w pokoju o temperaturze niespełna 7°C. Ochotnicy muszą przestrzegać specjalną dietę, a zmiany w ich organizmie zapisuje się bardzo dokładnie.

Z wynikami tych badań można się zapoznać przez pouczającą wystawę (fot. 2), na której eksponaty pomysłowo wystawione z dziedziny higieny, odżywiania i anatomii wprowadzają zwiedzającego w świat dotychczas jemu mało znany. W Muzeum Zdrowia młodzież poznaje stadia operacji i wycięcia wyrostka robaczkowego, i porównuje wzrost z przeciętną wysokością dla ich wieku (fot. 3).

Badanie zdolności człowieka do wykonywania funkcji w różnych okolicznościach napięć. Ochotnicy pracują i odpoczywają w klimatycznym pokoju (fot. 4). Urządzenia elektronowe zapisują przemianę materii oraz reakcje umysłowe i ruchowe na dietę o niskiej zawartości protein i na temperaturę niespełna 7°C.

Wprowadzenie „postępowej opieki nad pacjentem” nastąpiło dzięki rozwojowi techniki w medycynie.

Zasada ta głosi, że pacjentów klasyfikuje się raczej według stanu chorobowego, a nie choroby — co byłoby już za późno. Pacjenci, po operacji, zanim zostaną całkowicie uleczeni, przechodzą pięć faz: 1) pacjenci, którzy wymagają specjalnej opieki, 2) — chorzy, bezpośrednio po zażegnaniu niebezpieczeństwa, 3) — osoby, które mogą zgłaszać się na ambulatoryjne leczenie. 4) przechodzący rehabilitację i rekonwalescencje w domu i 5) zgłaszający się na poradę do szpitala.

ROZMOWY Z CZYTELNIKAMI

Pan Władysław Kaczorowski z Leszczyn — w drugiej części swego listu do Redakcji przytacza fragment artykułu z „Rodziny”, w którym autor pisze, że dla dobra ogółu dopuszcza się karę śmierci.

Pan Kaczorowski pisze, że za karę śmierci nie podniósłby ręki oraz że „Rodzina” nie powinna popierać wniosków za karę śmierci.

Drogi Czytelniku — jak już pisaliśmy kilkakrotnie — „Rodzina” nie jest wolną trybuną dla wszystkich, ale też nie jest urzędowym organem Kościoła, gdzie za każde sformułowanie Kościół ponosi moralną odpowiedzialność.

Dlatego w publicystyce „Rodziny” są często subiektywne zdania autorów, które nie zawsze odtwarzają oficjalny pogląd Kościoła. Dotyczy to w szczególności spraw moralno-społecznych i obyczajowych.

Kościół Polskokatolicki, jego władze duchowne i wierni na pewno nigdy nie będą głosowali, ani popierali kary śmierci.

Nas chrześcijan obowiązuje także Dekalog i obowiązują nas normy etyki chrześcijańskiej. Stwierdzić jednak należy, że sprawa ta nie jest prosta ani łatwa, odwrotnie jest trudna i złożona.

W teologii katolickiej jest taka zasada, że w przypadku gdy zachodzi nieuniknione zło, wybiera się zawsze zło mniejsze, które przynosi mniej krzywdy społecznej i szkody.

Jak na przykład mieli postąpić wierzący ludzie z ruchu oporu w czasie okupacji w Polsce, czy gdziekolwiek, gdy byli wewnątrz przekonani, że ktoś z organizacji podziemnej przeszedł na służbę okupanta i wydaje w ręce oprawców dziesiątki ludzi zaangażowanych politycznie w organizacji podziemnej. Sprawa, widzimy nie jest prosta, a moralnie trudna i bardzo złożona. Oczywiście każdy sąd przed decyzją wyroku śmierci winien zbadać najmniejsze okoliczności, aby uniknąć błędu i nie uczynić krzywdy człowiekowi, dla którego życie jest największą wartością.



Co mówi Małgosia swojej koleżance Aluni, jest chyba wielką tajemnicą. Małgosia ma wielki sekret, dlatego mówi na uszko, żeby nikt, broń Boże, nie podsłuchał. Właśnie o to tylko chodzi.

Mówi więc do Aluni, a domyślamy się tego, bo to dzieje się na zabawie, że Małgosia ma ukryty żal do Jasia, że nie ją, lecz inną koleżankę, mianowicie Zosię, poprosił do tańca. Pokazuje więc na Jasia i mówi: „Popatrz, Aluniu, jak ona źle tańczy, a Jasiowi z palaszem wcale nie do twarzy. Przy okazji ja mu to powiem. Ale nie myśl, że jestem zazdrosna. Wcale nie. A ta Krysiu, ta, widzisz, co jest obok mamusi, jest tak zazdrosna o Jasia, że porzuciła książkę do czytania, żeby obserwować jego zaloty do Zosi. A ja, jak widzisz, jestem najzupelniej obojętna. Ale jutro, kiedy się spotkamy z Jasiem w przedszkolu, to mu wszystko powiem, nawet i to, że mnie nie poprosił do tańca, na złość tej właśnie Zosi. A za ten wieczór zemszczę się w okrutny sposób, że zjem jego porcję kremu, gdy bodaj na chwilę odejdzie od stołu.



Ziarna Boże	16 — zł
Sprawa Kościoła Narodowego w Polsce XVI w.	30 — zł
O Kościele Jezusa Chrystusa	3 — zł
Katechizm Kościoła Polskokatolickiego	6 — zł
Zbuduję Kościół mój	4 — zł
Sakrament Chrztu św.	4,50 zł
Sakrament Pokuty	4,50 zł
Sakrament Bierzmowania	4,50 zł
Dziecię z Betlejem	8 — zł
Sakrament Eucharystii	4,50 zł
Sakrament Małżeństwa	4,50 zł
Sakrament Namaszczenia Chorych	4,50 zł

SIERPIEŃ-WRZESIEŃ

N	29	XII po Ześl. Ducha Św., Sabiny
P	30	Feliksa i Adaukta
W	31	Rajmunda, Marka
Ś	1	Męczenników Narodu Polskiego
C	2	Stefana, Konstancji
P	3	Szymona, Izabeli, Eufemii
S	4	Róży, Rozalii

Wydawca: Wydawnictwo Literatury Religijnej. Redaguje Kolegium. Redaktor naczelny — Ks. mgr Tadeusz Gorgol. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul. Wilcza 31. Tel 28-97-84; 29-26-43. Warunki prenumeraty: Prenumeratę na kraj przyjmują urzędy pocztowe, listonosze oraz Oddziały i Delegatury „Ruch”. Można również dokonywać wpłat na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23. Prenumeraty przyjmowane są do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Cenaprenumeraty: kwartalnie — 26 zł, półrocznie — 52 zł, rocznie — 104 zł. Prenumeratę na zagranicę, która jest o 40% droższa — przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23, tel. 20-46-88, konto PKO Nr 1-6-100024. (Roczna prenumerata wynosi: dla Europy 7\$, 19,70 DM, 23,40 NF, 1,13,6 £; dla St. Zjednoczonych i Kanady 7\$; dla Australii 2,10,5 £A, 20,4 £E). Można również zamówić prenumeratę, dokonując wpłaty na konto Wydawnictwa Literatury Religijnej PKO Nr 1-14-147290.



MAROKO

2 marca 1956 r. proklamowana została niepodległość Maroka. Kraj uwolnił się od długoletniej niewoli francuskiej. Głową państwa jest król Mula Hassan II, premierem Ahmed Bahnini. Maroko zajmuje obszar 444 tys. km², ludność 12.180 tys. Stolicą jest Rabat, liczący 225 tys. mieszkańców. Z większych miast Casablanca — 965 tys, Marakesz — 243 tys. Tanger — 185 tys. Językiem urzędowym jest arabski, główną religią islam. Niepodległość uzyskana przez Maroko nie zlikwidowała skutków długoletniej niewoli i eksploatacji kraju przez kolonizatorów. Mimo to notuje się i pewne osiągnięcia.

Na wsi zamieszkuje 70% ludności, natomiast większa część gruntów znajduje się w posiadaniu europejskich kolonistów (około 1 mln ha) i miejscowych obszarników.

Najbardziej rozwiniętą gałęzią przemysłu jest górnictwo. Wydobywa się fosforyty, żelazo, mangan, cynk, kobalt oraz węgiel. W 1960 r. wydobyto 96,2 tys. ton ołowiu, 1961 r. 1293 tys. ton kobaltu. Pierwsze miejsce pod względem ilości zakładów przemysłowych ma Casablanca. Drugie miejsce Tanger. Ważne miejsce w gospodarce kraju zajmuje rzemiosło i chłupnictwo. Wyrób dywanów, wyrobów ceramicznych i skórzanym. W pięcioletnim planie gospodarczym (1960—1964) zostały znacjonalizowane towarzystwa kolejowe. W r 1961 oddano do użytku pierwszy zakład przeróbki ropy naftowej w Mohamedi. Maroko prowadzi politykę profrancuską i korzysta z pomocy finansowej Francji. Utrzymuje też stosunki dyplomatyczne i handlowe z krajami socjalistycznymi.

Polska ma również swój udział w kontaktach handlowych a jednym z sukcesów jest wybudowana cukrownia w Sidi-Slimane. Studenci marokańscy natomiast zdobywają wiedzę na uczelniach polskich.

CH.



4. Architektura mauretańska
5. Casablanca — fragment portu



1. Wybrzeże Morza Śródziemnego
2. Fragment portu w Casablance
3. Casablanca